MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 24. WARSZAWA, 15 CZERWCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

TWÓRCZOŚĆ I NAŚLADOWNICTWO

POCHODZENIE różnych kierunków o charaktemiędzynarodowym: liberalizmu, socjalizmu, pacyfizmu i innych „izmów", jest zupełnie jasne. Przyszły z zagranicy, są przeszczepieniem obcych idej na nasz grunt. Zwolennicy ich w Polsce mają wielce ułatwioną pracę myślową: otrzymują gotową i wykończoną doktrynę. Nie można im przeciwstawiać „nacjonalizmu", jako kierunku o podobnym typie. Niema jednego w świecie nacjonalizmu, a są różne „nacjonalizmy", jeżeli już mamy używać tego niezbyt szczęśliwego wyrażenia. Podstawą kierunków narodowych jest świadomość odrębnych wartości, tkwiących w narodowem życiu; wyrazem ich jest samoistna twórczość narodowa. Gdyby istniał tylko jeden „nacjonalizm", to byłoby to „*contradictio in adiecto*".

Nie wszyscy o tem pamiętają. Nie tracił tego z oczu kierunek narodowy w Polsce, który wyrósł jako prąd samodzielny, z własnych źródeł, bez szczudeł importowanych z zagranicy. Ale nie zdają sobie z tego sprawy różne myślowe niedorostki, które, chcąc przelicytować kierunek narodowy, sprowadzają z zagranicy towar nacjonalistyczny najświeższej marki i obnoszą go po rynku. Jedni chcieliby naśladować faszyzm w jego zewnętrznych objawach, co najwyżej godząc się na inny kolor koszuli; zapominają o tem, że nasz klimat nie sprzyja noszeniu tego stroju. Inni chcieliby budować na gwałt państwo „korporacyjne", nie pytając się o to, czy nasza struktura gospodarcza sprzyja oparciu ustroju na tej podstawie, czy miałby on za sobą tradycje życia zbiorowego, które ma w innych krajach. W niektórych umysłach tuła się, również przyniesiona z zagranicy, idea ujęcia władzy przez elitę „kombatantów", która na naszym gruncie daje karykaturalne wyniki, z uwagi choćby na to, że w czasie wojny byli u nas bardzo rozmaici „kombatanci"

Kierunek narodowy nie może pójść po tej linji najmniejszego oporu, nie może ułatwiać sobie zadania. Na życie polityczne każdego narodu, na jego rozwój, jego idee, ogólne i konkretne dążenia składają się trzy pierwiastki, a raczej trzy ich grupy. Najpierw przeszłość narodu, która całym wielowiekowym jego dorobkiem tkwi w teraźniejszości. Następnie aktualne jego położenie, jego stosunek do idej i interesów innych narodów świata, stanowisko, które natura i gospodarstwo wyznacza narodowi w międzynarodowem współzawodnictwie. Wreszcie wielkie znaczenie przypada pierwiastkom czysto indywidualnym, nawet osobistym; niepodobna jest lekceważyć roli wielkich ludzi, którzy swoje własne piętno wyciskają na całych pokoleniach.

Ten ostatni pierwastek jest dziełem przypadku szczęśliwego lub nieszczęśliwego. Genjusza nie stworzy się przez jakąś specjalną hodowlę, ani też przez reklamę. Natomiast świadoma twórczość narodowa, praca nad pogłębieniem narodowych idej, musi wziąć na siebie wielki trud zgromadzenia całego materjału, którego dostarcza historja i obecne położenie narodu w świecie; tylko na podstawie dokładnej jego znajomości można wznosić budowle, które przetrwają wieki. Budowa z piasku idej i haseł, które przynoszą wiatry ze wszystkich stron świata, nie wytrzyma nawet i lat kilku.

Obydwa pierwsze pierwiastki, z których jeden w skróceniu można nazwać historycznym, a drugi, w bardzo ogólnem rozumieniu wyrazu, geograficznym, należy równomiernie uwzględnić. Nie można poprzestać na jednym z nich, a zlekceważyć drugi. Trzeba wiedzieć, co się w świecie dzieje, jakie

działają w nim w tej chwili siły, jakim przeobrażeniom podlegają różne cywilizacje. Naród nie może żyć w całkowitem odosobnieniu. Podlega zawsze obcym wpływom, ale od tego, czy te wpływy potrafi samodzielnie przetworzyć, zależy dobroczynne lub szkodliwe ich działanie. Praca ta szczególnie ciężka jest w obecnej dobie, kiedy w świecie panuje chaos, kiedy nowe nieznane lub trudne do poznania siły dochodzą do głosu (Azja!), kiedy wiele czynników stara się o to, by utrudnić poznanie rzeczywistości, a tyle różnych dążeń międzynarodowych stroi się obłudnie w fałszywe pióra.

Niezależnie od tego, w naszych warunkach, czeka nas trud o wiele większy, by poznać dokładnie znaczenie czynników, urobionych przez historję, żeby umieć budować umiejętnie na gruncie przeszłości. Przedewszystkiem nie znamy jej dobrze. Dziejopisarstwo doszło u nas do wielkiego rozkwitu w dobie niewoli, ale okoliczność, że nie mieliśmy wówczas własnego państwa, musiała nadać jednostronny charakter poglądom na przeszłość. Pod wpływem sentymentów, które powstały po utracie niepodległości, zatraciła się świadomość znaczenia dziejów tak zw. „przedrozbiorowych"; w poglądach szerokich mas niemal najważniejszemi wydarzeniami stały się nieudałe powstania. A przytem do tego, by poznać, czem my jesteśmy, i czem być możemy, nie wystarczą zainteresowania, które objawiała dotychczas nasza nauka historji. Czy np. spory o to, jaki jest nasz charakter narodowy i najsprzeczniejsze sądy, które się na ten temat wydaje, nie dowodzą jaskrawo, jak małe w tej dziedzinie osiągnięto wyniki?

A tymczasem nie podobna jest rozwijać nowych idej narodowych bez trwałego fundamentu historycznego. Kierunek narodowy nie może negować przeszłości, nie może lekceważyć właściwości duchowych narodu, które urobiły się w tysiącletniej jego przeszłości. Błędną byłaby zarówno jej apoteoza, jak i chęć radykalnego zerwania z tem, co dawniej było. Nawet tak zw. „wady narodowe" mają w sobie cenne pierwiastki. Chodzi o to, by usunąć i złagodzić to, co jest jednostronne, ale nie uda się zerwać w sposób rewolucyjny z wielu nabytemi właściwościami. Z wady, przez umiejętne wychowanie narodu, można zrobić zaletę. A czy np. można dać Polsce dobry ustrój, jeżeli się zechce pomijać dziedzictwo duchowe dawnego państwa polskiego?

Ta twórczość wymaga ogromnej pracy. Trzeba ją prowadzić w wytężonem tempie, gdyż brak własnego państwa w XIX wieku, w którym cały świat podległ tak ogromnym przeobrażeniom, stanowi bardzo wielką przeszkodę i komplikuje nasze zadania.

Praca nad pogłębieniem naszych idej narodowych nie może być prowadzona w oderwaniu od życia. Nie przyjmą się idee, wyrosłe w cieplarnianej atmosferze abstrakcji. Pokolenie, które ma te zadania spełnić, nie może cofnąć się w zacisze, odsunąć się od codziennej walki, w nadziei, że to oddalenie pozwoli lepiej skupić duchowe siły i sprzyjać będzie powstaniu naprawdę nowych idej. Idee wielkie, zdolne poruszyć naród, powstają zawsze w ogniu walki.

Każdy kierunek opiera się na kilku ideach zasadniczych, które wsiąkają głęboko w naród, stają się jego „przeświadczeniem", organizującem jego życie duchowe. Idee te trzeba często powtarzać, trzeba je wciąż rozszerzać, choćcy nawet dla wielu nie miały one już uroku nowości. Ale tylko ciągły wysiłek, by te ogólne idee przeprowadzić konsekwentnie w najróżnorodniejszych sferach duchowego życia narodu, by je zestawiać z konkretnemi jego zadaniami i trudnościami, może uchronić je od wyjałowienia i pustki. Największem nieszczęściem każdego kierunku jest, gdy na wszystko znajduje on gotową i łatwą odpowiedź. Bo zwykle wtedy, z braku własnej, znajduje on odpowiedź cudzą, pożyczoną z zagranicy.

Istotną wartością naszego kierunku narodowego było i jest głębokie „wżycie się" w naród, w jego przeszłość i teraźniejszość, we wszystkie jego zagadnienia i potrzeby. Dzisiaj, po odzyskaniu niepodległości, ogromnie rozszerzyły się nasze zadania, tem wytrwalszą i usilniejszą musi być nasza praca myślowa. Bierzemy na siebie bardzo ciężkie zadanie: twórczość narodową. Inni niechaj się bawią liberalnem, socjalistycznem lub... nacjonalistycznem naśladownictwem.

ROMAN RYBARSKI

QUOUSQUE TANDEM...

W DNIU 31. X. ub. r., w tym samym dniu, kiedy gotował się zamach na Sejm, podpisana została umowa polsko-niemiecka, mocą której Polska zrzeka się niektórych ważnych praw, przyznanych jej w Traktacie Wersalskim. Aby pojąć znaczenie tego, jako symptomatu pewnej sprawy *dziejowej*, przypomnijmy sobie kilka znanych dat historycznych.

Oto na samym początku państwa, Mieszko pokorny wobec margrafa; ale zaraz po nim jego „wyrodny" — w oczach nienawistnie strwożonego niemieckiego kronikarza — syn, Bolesław (1018), co tworząc potężne państwo, Niemców *nad Odrą* osadza w miejscu. To akt I dramatu polsko-niemieckiego. Akt II: Rozdrobniona Polska, data 1225 — Niemcy pod postacią Krzyżackiego Zakonu *nad Wisłą*. Akt III: Potężna Polska za Jagiełłów: 1410 — Grunwald, a potem za Kazimierza Jagiellończyka zamykamy rozwój tej potęgi pokojem toruńskim 1466, Krzyżacy stają się lennikami Polski. Ostatnia to przed r. 1918 data dla nas korzystna. Akt IV: 1525, *świetna ułuda* krakowskiego

hołdu, i ten groźny fakt, że z rodem Hohenzollernów, zagnieżdżających się w Prusiech Wschodnich, obejmują nas Niemcy dwoma ramionami. Akt V: 1621, po obu stronach Polski powstaje jedno państwo Hohenzollernów; Hohenzollernowie pruscy wymierają, brandenburscy po nich dziedziczą; 1657, traktat welawsko-bydgoski; Prusy uwolnione od lennictwa; 1701, powstaje Królestwo Pruskie, samą już nazwą swą świadczące o zaborczych aspiracjach w stosunku do polskiego Pomorza. Akt VI: Rozbiory, niemieckie ramiona ściskają się na naszem gardle, Niemcy z Prus Wschodnich i Brandenburgji łączą się poprzez rozdarte ciało Polski, władztwo niemieckie przeszło Odrę, ponownie stanęło nad Wisłą. Teraz zaczyna się nowy obrót dziejowego cyklu, walka o ziemię w ścisłem tego słowa znaczeniu, jako walka o grunt pod nogami. Walka, w której oni są mocarstwem — my poddanymi.

Kanclerz Bülow w r. 1907 podnosi, że zaborca Polski, Fryderyk W., jest twórcą idei kolonizacji. W ciągu 14 lat od r. 1772 do swej śmierci osadził on 115.000 Niemców. Pamiętajmy jednak, że była to kolonizacja bez żadnego bezprawia: Rząd albo kupował ziemię, albo własne dobra parcelował pomiędzy chłopów niemieckich. Część ich zresztą później, jak stwierdza Zimmerman, spolszczyła się. Ta pierwsza, wielka fala kolonizacji systematycznej urywa się po śmierci Fryderyka. Kolonizacja bez szczególnego poparcia rządu i w niewielkich rozmiarach trwa aż do rządów w Poznańskiem Flotwella po r. 1830, za którego fala kolonizacyjna podnosi się znowu. Po r. 1840, kiedy na tronie pruskim zasiada liberalny Fryderyk Wilhelm IV, polskość pięknie rozkwita — i korzysta dzielnie z dodatnich — przyznajmy to bez obłudy — stron pruskich rządów: wczesne uporządkowanie sprawy włościańskiej przez rząd pruski jest walnym czynnikiem naszego rozwoju narodowego pod zaborem niemieckim. Dziwna jest potęga instynktu narodowego: Rok 1848 widzi lud polski w Poznańskiem, nie po stronie bądźcobądź dobroczynnego dlań, ale obcego rządu, tylko w obozach polskich; pierwszy to rok, w którym się spełniać zaczyna marzenie o ludzie polskim — dobrowolnie walczącym dla Polski. Ten sam rok rozwiewa wszelkie złudzenia o polsko-niemieckiem braterstwie, obnaża grozę niebezpieczeństwa, tkwiącego w potężnych wyspach kolonizacji niemieckiej i zniemczonych żydów: mniejszość niemiecka protestuje gwałtownie przeciw państwowej — w stosunku do Rzeszy Niemieckiej — autonomji Poznańskiego, idzie w tem dalej, niźli sam rząd pruski, ma wpływ na opinję wrogą całych Niemiec. Po tej zwodniczej, ale pouczającej „wiośnie ludów", rozpoczyna się ofensywa polityki antypolskiej. Upada naskutek szykan administracyjnych prasa polska, tak ładnie rozkwitła, konstytucja pruska z r. 1850 już nic nie chce wiedzieć o równouprawnieniu językowem Polaków. Równocześnie ziemiaństwo polskie przechodzi ciężki kryzys: rozruchy 1848, klęski elementarne w latach pięćdziesiątych, wreszcie ogólno-europejskie w tych latach potanienie ziemi sprawiają, że wielkie własności musi się wyprzedawać. Tow. Kredytowe Ziemskie, założone w ub. okresie, doznaje teraz różnych utrudnień od rządu, tak, iż nie może nadbiegać z należytą pomocą, a skutek tego fatalny: W latach dwunastu, 1848 — 60, w Księstwie Poznańskiem przeszło więcej niż 489.000 morgów z rąk polskich w niemieckie! (Buzek, 113). Niemcy z nietajoną radością wciskają się na miejsce bankrutujących rolników polskich: „*Deutsche Allgemeine Zeitung*" w r. 1858 głosi, iż szlachta polska niezadługo pozbędzie się ziemi, „przybywajcie więc obywatele niemieccy do tej dziedziny konającej Słowiańszczyzny!" W tym to okresie, do naszego kodeksu patrjotycznych cnót wchodzi nakaz trzymania ziemi.

W r. 1862 król pruski mianuje swym ministrem Ottona Bismarka. Na plac boju wchodzi osobistość potężna, będąca długi czas uosobieniem ekspansji niemieckiej. Już w r. 1861 Bismark był zdania, że Polaków trzeba bić aż na śmierć (*totschlagen*), bić, chociażby się z nimi współczuło, jak się bije wilka, choć on nie jest winien temu, że jest wilkiem. Widmo tego człowieka, o wielkich, drapieżnych, wyłupiastych oczach, straszyło nas w dzieciństwie; ale warto przypomnieć, że nie było w nim ani pogardy dla nas, ani nienawiści rasowej; Bismark nieraz z szacunkiem, a nawet sympatją mówił o tych *brave Jungen*, polskich żołnierzach, następcę tronu Wilhelma usilnie namawiał, żeby się uczył po polsku, łatwiej nawiązywał stosunki z Polakami, niż — z wyjątkiem Capriviego — jego następcy. Bismark walczył z nami i nienawidził nas nienawiścią polityczną, dlatego, że bał się nas. Możnaby powiedzieć paradoksalnie, że on jeden wierzył w żywotność Polski. Ta obawa była osią przewodnią jego polityki. Niemcy, pod jego egidą, zjednoczone i zwycięskie, 1866 — 1871, mają już wolną rękę do załatwienia się z nami. Już przedz casami Bismarka, w szóstem dziesięcioleciu, myśl polityczna niemiecka wykuwa potężne intelektualne narzędzie ofensywy: koncepcję państwa narodowego (*Nationalstaat*, Bluntshli 1852, Mohl 1857, Rössler 1859). Naród niemiecki cały, nietylko prusacy, sprawę pomiędzy rządem pruskim a Polakami uważa odtąd za swoją własną. Jak ścisłym zaś związek pomiędzy siłą ucisku niemieckiego a ich siłą polityczną, dowód w tem, że polityka otwarcie eksterminacyjna zaczyna się niemal tuż po zwycięstwie nad Francją: „*Kulturkampf*" (1872 — 1885). germanizacja w r. 1873 szkoły ludowej — (średnie już dawniej) — pozostawiono jednak jeszcze język polski jako przedmiot nauczania i przy nauce religji, Germanizacja urzędów i urzędowania, ale jeszcze „język obcy" dopuszczony dla nieznających niemieckiego, jeszcze nie jest dla urzędnika dobrą rekomendacją to, iż nie zna polskiego; to przyjdzie dopiero za następców Bismarka.

Lecz oto rząd niemiecki staje wobec dziwnego zjawiska: polskość w Poznańskiem rośnie. I tak, w dziesięcioleciu 1871 — 80 w rejencji poznańskiej, na każdych stu Niemców, przybywa ich 2, a na stu Polaków, przybywa ich aż 11! Było to skutkiem emigracji Niemców do Rzeszy, gdzie właśnie rozwija się intensywnie przemysł, Polacy zaś chętniej szukali zarobku w pracy rolnej, którą znajdowali na miejscu. Bismark za wszelką cenę postanawia wstrzymać przyrost polski. W r. 1885 sławne „rugi", —30.000 Polaków obcokrajowców, wyrzucanych niemal z dnia na dzień—ale przedewszystkiem zaczyna się nowa faza walki o ziemię.

W r. 1886 rząd pruski otrzymuje od sejmu 100.000.000 marek na cele kolonizacyjne, powstaje komisja kolonizacyjna. Bismark drwi ze szlachty polskiej, że będzie miała za co jechać do Monaco. I istotnie, w ciągu 4 lat wykupiono z rąk polskich 82 dóbr o powierzchni blisko 50.000 ha!

Majątki te idą na parcelację pomiędzy chłopów niemieckich, ściąganych z Rzeszy, jako t. zw. włości rentowe.

Owych 100 miljonów marek to było wielkie dla nas ostrzeżenie. Staje się jawne, że walka idzie o wartości zgoła elementarne, o to, czy staniemy się powoli narodem bez ziemi, narodem nędzarzy i sług. Wstrząs głęboki poszedł przez duszę polską — ale nie pesymistyczny. Już w r. 1884 Prus wydaje „Placówkę". Teraz, w tych latach coraz lepiej rozumiemy, że jeśli przetrzymamy, to dzięki ludowi; wielkie pnie można wyciąć, mogą się uginać i łamać, ale nikt nie wytępi gęstej trawy, tysiącem i miljonem korzonków wczepionej w ziemię. Ludowy poeta śląski, ks. Demrot śpiewa (cyt. wg. Sobieskiego):

„Sto miljonów marek to nie fraszka,
Można wykupić województwo całe,
Lecz walka z ludem polskim nie igraszka,
Aby go zniszczyć i Niemcy za małe!"...

I dobrze się dzieje! Przewidywania naszej myśli politycznej sprawdzają się: Od r. 1897 my atakujemy, my w ciągu lat 4 wykupujemy od Niemców (dawniej osiedlonych) tyle ziemi, że bilans zmian wynosi przeszło 30.000 ha, na naszą korzyść! [1]). Ofensywa nasza w ciągu lat 8 do r. 1904 rozwija się tak doskonale, iż czysty zysk nasz w tych latach wynosi conajmniej 60000 ha, czyli że wyrównujemy straty poniesione w ub. dziesięcioleciu! (l. c. 307/8). Równocześnie w polityce naszej prądy demokratyczne obalają ugodę, na Śląsku mamy ruch narodowy czysto ludowy. Co więcej, i po miastach tężyzna nasza daje się Niemcom we znaki, my wykupujemy parcele, domy, apteki, sklepy, warsztaty. I nasza publicystyka z radością (Popławski) i niemiecka ze zgrozą stwierdza, że jesteśmy narodem idącym w górę.

W r. 1894, p.p. Henneman, Kenneman i Tiedeman zakładają *Ostmarkenverein*. Teraz już niemczyzna walczy i zapomocą państwa i zapomocą społecznej organizacji. My przeciwstawiamy nasz patrjotyzm, solidarność, wytrwałość, oszczędność, pracowitość. Nie mogąc sobie rady dać z temi cnotami przeciwnika, Niemcy przechodzą do nowych, w historji nowożytnej dotąd nie znanych sposobów walki narodowej. Dotychczasowa walka o ziemię nie była bezprawiem — rząd miał pieniądze i kupował od dobrowolnych sprzedawców, (tymczasem nowe setki miljonów przez sejm uchwalane w 1898, 1902, 1908, razem z poprzedniemi 725 miljonów — l. c. 310/11), a kupiwszy, własnością swą roporządzał, jak mu się podobało. Teraz nastąpią kroki o charakterze wprost rewolucyjnym, godzące w zasadę własności: Bo nie inaczej, jeno rewolucją od góry, można nazwać zakaz budowania się na własnej ziemi i przymusowe wykupno dla celów politycznych, czyli wywłaszczenie! Nie spodziewają się Niemcy, że już w kilkanaście lat później, świat zwycięski przeciwko nim obróci broń, którą oni wymyślili! Rok 1904: dla utrudnienia naszej parcelacji chłopskiej, wychodzi ustawa wprost, bez osłonek wyłączająca ludność polską od możności budowania nowych budynków w nowych osadach; wtedy to Drzymała wpada na kapitalny pomysł swego sławnego wozu, z którego zresztą musiał w końcu ustąpić. Ten wóz był oczywistym dowodem przed światem, że Niemcy lud polski proletaryzują *per fas et nefas*. Rok 1908: Rząd uzyskuje w sejmie pruskim ustawę, upoważniającą do przymusowego wykupu majątków polskich, uzyskuje nowe potężne na ten cel fundusze.

Teraz, zresztą już od paru lat, siła pruska zaczyna przecież przerażać. Wielki napływ złota robi swoje. Cena ziemi wzrasta, wzrasta i pokusa, mnożą się szeregi sprzedawczyków — i to, niestety włościan! Zdaje się, że już osiągnięta została nasza granica wytrzymałości. Już w pięcioleciu 1900 — 5 na każdych 100 Niemców w Poznańskiem przybywa 5 nowych, przyrost zaś Polaków wynosi tylko 3%... W r. 1907, państwo pruskie posiada (dołączywszy własność kom. kol.) na obszarze Pomorza i Poznańskiego przeszło 1.100.000 ha czyli $^1/_5$ część całego obszaru tych prowincyj (Buzek, 343). 40.000 Polaków opuściło swe siedziby, 80.000 Niemców osiedliło się w nowych kolonjach (do r. 1907). Zarazem osłabia się polskość miast, bo ci nasiedleni Niemcy bojkotują Polaków. Razem z wywłaszczeniem idą ustawy, zakazujące języka polskiego na zebraniach publicznych, utrudniające stowarzyszanie się. W szkole już w r. 1900 odbiera się dziecku ostatnią ostoję polszczyzny: pacierz i religję w języku polskim. Września, strajk szkolny, chwilowe ustąpienie Niemców, w r. 1906 nowy atak na pacierz i religję w języku polskim, nowy sławny na cały świat strajk 46.000 dzieci, terror szkolny; a wszystko to w chwili osobliwej, kiedy już wyczuwa się w atmosferze burzę, te dzieci stwierdzają przed szerokim światem żywotność polskiej rasy, Niemcy swoją brutalność. W tych latach zaciekłość Niemców przechodzi wszelką miarę. Okazują nam pogardę, wobec której stosunek do nas takiego Bismarka wydaje się wprost idylliczny. Wilhelm II, 1902, mówi publicznie w Malborgu o polskiej bezczelności (*Frechkeit*), minister Hammerstein w sejmie pruskim oświadcza wprost, że „w Polakach nie mamy przeciwnika równego sobie, że naszą rzeczą jest rozkazywać, a ich słuchać" (1904), prof. Hasse, teoretyk niemieckiej polityki antypolskiej, nie waha się wymienić Polaków między narodami skazanemi na zagładę, i dowodzi, że Polaków nietylko nie trzeba uczyć po niemiecku, ale wprost wygłodzić ich (1907). Już idzie nie o narodową asymilację lecz dyssymilację, nie o eksterminację kulturalną — lecz o eksterminację rasową; mamy już do czynienia z najazdem w czystej, nagiej, pierwotnej formie. Walka idzie już nie o duszę, o język, o religję, o tradycję, lecz wprost o chleb, o grunt pod nogami, o to, kto będzie tu panem na tej ziemi osiadłym, kto bezdomnym, poganianym sługą i niewolnikiem. Razem z tem, rośnie i w życiu codziennem zuchwała i dokuczliwa buta najeźdźców. My, jak widzieliśmy, zaczynamy już od początków w. XX cofać się w naszym matejalnym stanie posiadania. Ale za to wszystko, co na duszy zdrowe, skupia się w sobie, przysięgamy bronić się na każdym progu. W r. 1910 odbywamy w Krakowie wspaniałą rewję naszych sił, które niejednego sceptyka nawróciła do wiary w naród — i wyglądamy znaków na ziemi i niebie, coby nam zwiastowały wojnę, ostatnią już naszą ziemską nadzieję.

[1]) My od Niemców (w Poznańskiem i w Prusiech Zach. razem) 63.314 ha, oni od nas 32.697 ha, ich strata 30.627. (Buzek, 269).

W wielkiej wojnie zawiedliśmy niemieckie spekulacje na naszą głupotę. Nie dostali Niemcy od nas tego miljona dobrych żołnierzy, których się spodziewali za obiecaną łapówkę mizernej psedo-niepodległości. Dąsa się na to Ludendorff w swym pamiętniku. Piłsudski sam zmuszony jest likwidować swoją armję po stronie niemieckiej, a wzgardzeni przez Piłsudczyznę żołnierze Hallera, pod Kaniowem (1918) pierwszy raz mają sposobność, na dnie duszy upragnioną, odprostować się, zmierzyć się z Niemcami. Dzięki polityce oporu przeciw zamysłom niemieckim i pro-niemieckim, delegaci polski zasiadają do stołu wersalskiego po stronie zwycięzców. Warunki Traktatu (28.6, 1919) mają na celu okiełznać rasę niemiecką, która, jak się dowodnie okazało, niebezpieczną jest dla całego świata, mają, skoro o nas idzie, o ile możności, znieść nierównowagę ludnościową i w stanie posiadania ziemi na naszych terenach zachodnich, nierównowagę przez Niemców na swą korzyść uzyskaną środkami tak wyjątkowemi, tak poprostu rewolucyjnemi. Skończył się drugi obrót dziejowych zapasów. Co będzie dalej?... Czy na progu nowej epoki nie rozcieńczy się w nas pamięć srogiego doświadczenia, czy nie rozmięknie w nas wola utrzymania się na wierzchu? Obaczymy co się święci!

(Dok. nast.) SIMPLEX

POLSKIE PRZEKŁADY WERGILJUSZA

W SWEJ ostatniej, niedokończonej już powieści, noszącej tytuł „Legjony", Henryk Sienkiewicz temi słowami opisuje wrażenia wojowników polskich, którzy służąc pod znakami republiki cyzalpińskiej, znaleźli się nad żółtemi falami Tybru:

„Maszerując w szeregu, wśród karabinów opartych o ramiona polskich żołnierzy i wśród połysków słońca na bagnetach, myśleli o „Eneidzie" o „Eneaszu" i „Lawinji", o okrętach zmienionych w nimfy, i o „Turnusie". Niektórzy, obdarzeni silniejszą pamięcią, deklamowali ustępy z „Eneidy", starając się rytm heksametrów pogodzić z równym, grzmiącym marszem szeregu".

W tejże powieści, o kilkanaście kartek wstecz, spotyka się napisany z werwą dialog między oficerami polskimi i pułkownikiem francuskim Gautier, mający za tło — pobojowisko trazymeńskie... Jenerał Dąbrowski dobywa z „mantelzaka" egzemplarz Liwjusza; gdy zaś Gautier, dowiedziawszy się, że „to będzie po łacinie", pyta zdziwiony: „Powiedz mi, obywatelu, czy wyście księżmi byli w swej ojczyźnie, czy co?" — otrzymuje humorystyczną odpowiedź: „Nie, ale w szkołach księża nas bili w skórę, ile wlazło, żeby nas łaciny nauczyć". Na dowód tego jeden z prostych żołnierzy otrzymuje rozkaz odczytania i przetłumaczenia odnośnych rozdziałów XXIII księgi dzieła „*Ab Urbe condita*", z czego wywiązuje się doskonale.

Mniejsza z tem, czy epizod powyższy osnuty jest na rzeczywistem zdarzeniu, czy nie — w każdym razie ma on cechy zupełnego prawdopodobieństwa. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o metodzie nauczania, stosowanej przed paroma wiekami w szkołach polskich (zresztą podobnie i w szkolnictwie innych krajów), stwierdzić należy, że ze szkolnej lektury klasyków łacińskich niejeden fragment pozostawał w pamięci i umyśle Polaka aż do późnego nieraz wieku. Nietylko uczeni i mówcy, kapłani, mężowie stanu i literaci, ale i „szaraczkowie" prości, ba, nawet biedota miejska — wszyscy raz po raz cytowali je z chęcią i lubością, czyto podczas wiejskich wywczasów, czy przy kieliszku, na imieniny przyjaciela czy na pogrzebie, w facecjach dworskich czy kwestarskich, w konkurach miłosnych czy poważnych sprawach publicznych, a nawet w najcięższych opałach wojny ze Szwedami, Kozaki i Tatary, jak kapitalny pamiętnikarz P a s e k, któremu na widok niezwykłego ferworu tchórza Wolskiego wyrywa się z ust cytata z „Eneidy": *Saevit atrox Volscens!...*

Najpoczytniejszym zasię i najbardziej wziętym ze wszystkich pisarzów łacińskich był w dawnej Polsce „przyjaciel Maro" (jak autorą „Eneidy" przezwał mistrz poezji polskiej Mickiewicz), piewca rolnictwa, wojen i tułaczki. Jego też poezje — w rodzimej mowie łacińskiej — bywały nader często na ustach Polaków, treść zaś była każdemu z nich bliska i zrozumiała, zwłaszcza w epoce, gdy Polskę — jak niegdyś Troję — łupili i niszczyli obcy najeźdźcy.

Brzmi to paradoksalnie, nie mniej wydaje mi się prawdą, że właśnie owo zbratanie się Polaków z poetą łacińskim było głównym powodem, iż w Polsce naogół mało brano się do tłumaczenia jego utworów. Ludziom, dobrze znającym utwory te w oryginale, przekłady były prawie zbyteczne— przynajmniej przez czas dość długi[1]).

Pierwszy i to całkowity przekład „Eneidy" (1590) zawdzięcza Polska J ę d r z e j o w i K o c h a n o w s k i e m u, który choć był rodzonym bratem Jana, jednakże talentem bynajmniej temu nie dorównał. Gdy bowiem autor „Trenów" w sposób niepospolicie piękny spolszczył wyjątki z Homera, Anakreonta, Katulla i Eurypidesa, brat jego zdobył się jedynie na rzemieślniczą robotę. Nie brak w niej miejsc dobrych, a nawet i ładnych, całość jednak grzeszy brakiem dobitności i rozwlekłością, pospolitością wyrażeń i ladajakiem rymowaniem, dla którego ułatwienia tłumacz niekiedy wtrąca słowa zupełnie zbyteczne, osłabiające lub zaciemniające tekst, i tak już dość często zaciemniony zawiłą składniową konstrukcją, żywcem przejętą z łaciny. On to wprowadził utrzymujący się po dziś dzień zwyczaj oddawania heksametrów Wergiljuszowych wierszem trzynastozgłoskowym (aleksandrynem), co zresztą wprowadził też Jan Kochanowski w przekładzie „Iljady". Mimo swych wad był ten przekład „Eneidy" — jako jedyny — przedrukowywany niejednokrotnie w ciągu dwuch wieków następnych, które, choć dostarczyły wielu oryginalnych prób epicznych w guście Wergiljuszowym, na przekład „Eneidy" już się nie zdobyły.

Zato w tych czasach ustawicznych wojen i zamieszek — rzecz dziwna — nadzwyczajne po-

[1]) Jest to skrót polski pracy, która po francusku ukaże się w zbiorowej księdze ku czci Wergiljusza, opracowanej przez uczonych i literatów polskich pod redakcją prof. dr. R y s z a r d a G a n s z y ń c a.

wodzenie miały „*Bucolica*“. Doprawdy chciałoby się tu użyć słów Melibeuszowych: *Miror magis... undique totis usque adeo turbatur agris!...* Pierwszy przekład tego dzieła wyszedł tuż przed „Eneidą” Kochanowskiego, w r. 1588, nosząc tytuł: „Pasterskie Wergilego Marona rozmowy“. Tłumacz Jan Achacy Kmita, tak był — widocznie przez sentyment dla swego imiennika, „wiernego Achatesa”, — rozmiłowany w Wergilim, że w r. 1591, niejako uzupełniając przekład Kochanowskiego, ogłosił w swoim przekładzie utwór poety humanistycznego Vegiusa „O Eneaszu trojańskim księgi trzynaste“; rzecz tę ponownie przełożył i w r. 1606 ogłosił Marcin Błażowski. Parafrazę bardzo piękną trzech eklog Wergiljuszowych (II, V, VII) zamieścił w zbiorze swych „Sielanek” (1614) głośny humanista Szymon Simonides-Bendoński, mistrz pięknej formy zarówno polskiej jak i łacińskiej, który jednakże za główny wzór swych utworów, nawet oryginalnych treścią, brał Teokryta. Oprócz przekładów i parafraz pojawiały się i parodje „Bukolik“, czasem niewytworne i trywialne, płody poetów mieszczańskich, jakie znajdujemy np. w trzykrotnie wydawanem „Colloquium Jannasa Knutla“ (1663), którego autorem jest Jan Łopeski.

Niezwykłą poczytność, pomimo języka już nieco staroświeckiego, miał jeszcze przez cały w. XVIII gładki naogół przekład księdza Ignacego Nagurczewskiego p. t. „Bucolica albo Pasterki P. Wirgiljusza Marona“, przedrukowywany kilkakrotnie, ostatnio w r. 1778 razem ze zbiorem oryginalnych polskich sielanek. W późniejszem wydaniu „Sielanek polskich z różnych pisarzów...“, ogłoszonem w r. 1805, zamieszczono nowy przekład eklog Wergiljuszowych, dokonany przez Józefa Lipińskiego. Przekład ten, który wyszedł także osobno, a następnie był parę razy przedrukowany nawet późniejszemi czasy, góruje nad przekładem Nagurczewskiego poprawnością języka i wiernością (choć niewszędzie), jednakże naogół jest w przeciwieństwie do tamtego nieco oschły i sztywny.

Poczytnością swą wgłąb XVIII-go wieku sięgnęły i „*Georgica*“ w przekładzie Walerjana Otwinowskiego (1-sze wydanie 1614). Natomiast nie doczekał się wydania aż dopiero niemal w półczwarta wieku później, przekład tegoż dzieła, dokonany przez Gabrjela Świrskiego; nadomiar zaginęły pierwsze trzy księgi przekładu, „roztargane na kęsy (jak pisze sam tłumacz) od pogańskiej ręki“ Tatarów, najeżdżających Polskę, tak iż ocalała tylko księga czwarta, którą „prawie zgniłą znaleziono w błocie“. Data powstania utworu, należącego bezsprzecznie do wieku XVI-go, nie jest pewna. Wydawca zabytku, dr. Stanisław Seliga, opierając się na kilku aluzjach przedmowy tłumacza, przyjmuje rok 1575, kiedy to po ucieczce króla Henryka Walezego panował w Polsce nieład, zwiększony strasznym najazdem tatarskim; gdyby przypuszczenie to okazało się prawdą, tedy pracę Świrskiego należałoby poczytać za pierwszy znany przekład polski Wergiljusza, a raczej jego parafrazę, gdyż Świrski (jak wykazał Seliga) postępował sobie z oryginałem dość swobodnie, usuwając lub dodając od siebie całe wiersze.

Przełom wieku XVIII-go z XIX-ym przyniósł nietylko nowe — po tak długiej przerwie — tłumaczenie „Bukolik“, ale i próby ponownego spolszczenia innych dzieł Wergiljusza. Inicjatywę w tym kierunku dali dwaj najwybitniejsi poeci z czasów Stanisława Augusta—Krasicki i Trembecki. Pierwszy z nich, którego usposobienie żartobliwe niebardzo się skłaniało ku nastrojowi poezji Wergiljuszowej, przełożył jedynie nikłe jej wyjątki, zresztą w celu zgoła praktycznym, a mianowicie dla zilustrowania wywodów dydaktycznych, zawartych w popularnej rozprawce o rymotwórstwie i rymotwórcach. Natomiast drugi, galant dworski, wytworny komplemencista i wogóle największy podówczas mistrz stylu poetyckiego, zmierzył się z Wergiljuszem w temacie tak trudnym, jak dzieje miłosnych przejść królowej Dydony. Przekład IV-ej księgi „Eneidy“, podjęty przez Trembeckiego, jest mimo wielkiej swobody świetny i na długie lata niedościgniony, to też wielka szkoda, że go poeta nie dokończył, jeno doprowadziwszy do punktu kulminacyjnego (scena w grocie) przeciął całą sprawę naprędce skleconym wierszem, nieharmonizującym z poprzedniemi. Wyszedł ten urywek przekładu w „Nowym pamiętniku warszawskim“ z r. 1801, jakby na pohybel ogłoszonemu w temże piśmie — parę miesięcy przedtem — prospektowi na całkowity przekład „Eneidy“, nigdy zresztą ponoś niewykonany. Tłumacz bowiem, co prospekt ten ogłosił, Marcin Molski, zjednał sobie wprawdzie pewną ilość prenumeratorów, jednakże poza kilkoma — wcale niezłemi zresztą — próbkami ks. II, IV i VI-ej, zawartemi w samym prospekcie, przekładu żadnego nie opublikował...

Czego nie wykonał Molski, wykonali inni, bo oto naraz jakby z rogu obfitości poczęły się w pierwszych latach XIX wieku sypać nowe przekłady dzieł Wergiljusza, wśród nich niektóre całkowite. Zasłużonemu tłumaczowi „Iljady”, Franciszkowi Ksaweremu Dmochowskiemu, śmierć nie pozwoliła wygładzić i dokończyć przekładu „Eneidy“, to też zachowało się po nim tylko dziewięć pierwszych ksiąg i drobne ułamki trzech następnych; puściznę tę wydano w r. 1809, uzupełniwszy ją przekładem trzech ksiąg ostatnich, sporządzonym *ad hoc* przez pijara ks. Wincentego Jakubowskiego. Owo uzupełnienie, podjęte dla celów czysto szkolnych (jak świadczył sam Jakubowski), nie miało wartości literackiej, było tylko kiepską łataniną, szkodzącą poważnie dziełu Dmochowskiego, które pomimo swego niewykończenia miało zalet wiele. To też w drugiem wydaniu, podjętem w przeddzień powstania listopadowego (1830), przekład Jakubowskiego zastąpiono dwoma innemi: księgę X-tą przełożył syn Dmochowskiego, Franciszek Salezy, a XI-tą i XII-tą Franciszek Kowalski, który wnet we wspomnianem powstaniu zasłynął jako piosenkarz wojskowy (autor znanej piosenki „Tam na błoniu błyszczy kwiecie“). Przekład jego ma też prawdziwie żołnierski temperament, co w opisach bitew (a tych w XI i XII księdze „Eneidy“ pełno) doskonale wychodzi. Początek ks. IV-ej w owem wydaniu zapożyczono od Trembeckiego, zbliżywszy go tylko więcej do oryginału.

Przekład Dmochowskiego i jego pośmiertnej spółki, choć oficjalnie chwalony, miał jednakże i swojego Zoila. Był nim emerytowany profesor wszechnicy Jagiellońskiej, Jacek Przybylski, człowiek kolosalnej, choć nieco chaotycznej erudycji, znający oba języki starożytne i wiele nowożytnych, a przytem niezmiernie odczytany w literaturze światowej, której wszystkie arcydzieła, zwłaszcza w zakresie epiki, chciał przyswoić polszczyźnie — po

swojemu. Przekłady jego bowiem (zwłaszcza późniejsze) pozbawione poetyckiego polotu i obarczone komentarzami, rażą obfitością wielkich dziwactw na polu językowem, zwłaszcza nadmiarem neologizmów. Prócz Homera, Miltona, Kamoensa i innych, wziął Przybylski na swój warsztat i Wergiljusza, tłumacząc w r. 1811 „Eneidę“, a w r. 1813 „*Georgica*“. Górując nad Dmochowskim wiedzą filologiczną i z tego powodu nieraz pokpiwając sobie z jego niedokładności, sam dał przekład wierniejszy, jednakże pozbawiony wartości literackiej. Nieraz później żartowano sobie z tych „profesorskich“ przekładów; że jednak tytuł i urząd profesorski nie ponosił tu najmniejszej winy, dowodem być może współczesny Przybylskiemu profesor uniwersytetu w Wilnie, Euzebjusz Słowacki, ojciec Juljusza. W pośmiertnej po nim puściźnie (1814) zachowało się sporo wyjątków z „Georgików“ i „Eneidy”, przełożonych przez bądź wierszem bądź mową niewiązaną, ale zawsze oddanych pięknie, bez uszczerbku dla wierności.

Prócz Przybylskiego inni jeszcze rywal wyrósł podówczas Dmochowskiemu. Był nim Franciszek Wężyk, który w latach 1804—1827 przełożył całą „Eneidę“, ale jej nie wydał, tak iż przeleżała się ona w rękopisie aż do śmierci tłumacza i została wydana dopiero w r. 1872. Przyczyną tego ukrywania światła pod korcem było dokonane w latach 1822 — 1830 zwycięstwo romantyków nad „klasykami“, do których obozu oficjalnie zaliczał się i Wężyk, zresztą pocichu, w głębi serca żywiący gorętszą sympatję raczej do romantyków. Po owej przegranej batalji pozostał w rękopisie — i to po dziś dzień — przekład „Bukolik”, dokonany przez przyjaciela Wężykowego, najzagorzalszego z „klasyków“, Kajetana Koźmiana. Pisarz ten, najgorliwszy podówczas wielbiciel Wergiljusza, autor polskiego „Ziemiaństwa“ i eposu o polskim Eneaszu, Stefanie Czarneckim, przechował nam nadto wiadomość o przekładzie fragmentu IX-tej księgi „Eneidy” (Nisus i Euryalus) wyszłym z pod pióra Tadeusza Matuszewicza († 1819).

Choć wódz polskiego romantyzmu, Adam Mickiewicz, z uniwersyteckiego swego wykształcenia zresztą klasyczny filolog, nazwał Marona w „Panu Tadeuszu“ swoim „przyjacielem“ — to jednak naogół Wergiljusz nie znajdował sympatji u polskich romantyków, budząc słabe echo nawet u takiego Zygmunta Krasińskiego, który do słynnej „Eklogi IV-tej“ nawiązywał swe marzenia o przyszłości świata. Otwarcie parodjował „zimną Eneidę” Juljusz Słowacki, zwłaszcza w swej „Podróży na Wschód“ (1836). Jeden tylko z romantyków, i to mniej wybitny, kolega Mickiewicza Juljan Korsak ogłosił w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1825 urywek dobrego przekładu ks. I-szej „Eneidy“ (burza).

Jednakże nietylko romantycy przedrwiwali Wergiljusza. Oto bowiem już w latach 1818—1819, gdy romantyzm polski ledwo że świtał w rozprawie Kazimierza Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności“, ukazał się w „Tygodniku polskim“ początek humorystycznej „Eneidy“, trawestowanej czyli „przenicowanej“ przez lekarza wojskowego, Ferdynanda Chotomskiego; dalsze jej części pozostały w rękopisie, a ich fragmenty dopiero znacznie później (1897) ogłosił Kazimierz Bartoszewicz w III-cim tomie „Ksiąg humoru polskiego“. Chotomski znał niewątpliwie słynną trawestację niemiecką Blumauera (1798), a może i francuską Scarrona (1648), ale się na nich nie wzorował. Niedość bowiem, że zamiast krótkiej formy wierszowej, spotykanej u tamtych obu pisarzy, użył tradycyjnego aleksandrynu, lecz ponadto przesycił całą trawestację rodzimym humorem „sarmackim”: Eneasz ma w tem opracowaniu wszelkie cechy polskiego szlachcica, który w potrzebie tęgo szablą rąbie „pohańców“, jednakże w chwili wolnej rad pogawędzić sobie niefrasobliwie przy kielichu, w dobrej kompanji. Spotykamy tu barwne szczegóły z polskiego życia szlacheckiego lub mieszczańskiego, postawione w miejsce klasycznych porównań oryginału, spotykamy aluzje do dziejów polskich (zdrajca Siciński pełni rolę Ixiona w piekle), nadewszystko zaś roi się cały „przekład“ od przeróżnych „facecyj“: od przysłowi polskich, od dwuznaczników, od familjarnych, dosadnych (nie trywialnych) lub powszednich wyrażeń, które doszczętnie rozpraszają nastrój miejsc najpodniośliejszych, wreszcie od sparodjowanych słówek i zwrotów samego oryginału (*infandum*, *regina*, to „infantka“, *sic orsus ab alto* — „jął altem przemawiać“, Cumaea Sybilla przeobraziła się w „starą kumę“ itp.) Nie była to jedyna polska trawestacja „Eneidy“; prócz przekładu trawestacji Blumauerowskiej, dokonanego w 1834 przez jakiegoś S. B., krążyła w odpisach po Polsce „Eneida“ białoruska (zachowana w 303 wierszach) pomysłu pułk. rosyjskiego z polskiej rodziny W. Rowińskiego[2]), wzorowana na ukraińskiej „Eneidzie“ Kotlarewskiego (1798); parodje drobnych urywków powstawały i później.

W przeddzień zwycięstwa romantyków pojawiły się — jeden po drugim — trzy przekłady innych jeszcze dzieł Wergiljusza: „*Georgica*“ przełożył Feliks Frankowski (1819) i ks. Aleks. Kotiużyński (1821), zaś „*Bucolica*“ ks. Jan Gorczyszewski („Skotopaski“ 1821); z nich tylko przekład Frankowskiego gładki, choć od doskonałości daleki, był czytywany później i przedrukowywany w całości lub w wyjątkach. W tymże też czasie powstał (pozostający w rękopisie) przekład litewski „Georgik”, dokonany przez prałata wileńskiego, ks. Ksawerego Bohusza († 1823), pisującego pozatem wyłącznie po polsku; ponadto w czasopismach lub książkach z tego czasu spotkać można fragmenty przekładów, wśród których na wspomnienie zasługują próbki Ignacego Tańskiego, ojca sławnej powieściopisarki Klementyny, wydane z innemi jego pismami w roku 1808, oraz urywek I. ks. „Eneidy“, przetłumaczony przez ks. Wawrzyńca Kutowicza („Pszczółka polska“ 1820).

Odtąd już przez lat bezmała trzydzieści głucho było w Polsce o przekładach Wergilego. Dopiero gdy romantyzm, po zgonie lub zamilknięciu najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku, zaczął w Polsce przygasać, następne pokolenie znowu z upodobaniem wzięło się do lektury poety mantuańskiego. Jednakowoż to upodobanie, wzmożone rozwojem filologji klasycznej na wszechnicy warszawskiej, następnie i krakowskiej, inny już miało charakter; odbiło się to i na przekładach. Aleksandryn przestał być wyłączną formą, poja-

---

[2]) Niedawno jeszcze autorstwo przypisywano wicegubernatorowi Mańkowskiemu.

wiać się zaczęły i inne typy wierszowe, przedewszystkiem heksametr, którego wprowadzenie do poezji polskiej jest dziełem romantyków (Mickiewicz, Norwid), a utrwalenie — sprawą grupy filologów warszawskich (Popiel, Szmurło). W drugiej połowie wieku XIX do reguł należało tłumaczenie klasyków greckich i rzymskich (Homer, Horacy) heksametrem.

Jeden z najgorętszych propagatorów tej formy, Marceli Motty, przełożył tym „wierszem miarowym" m. in. także „Bukoliki" (1852); przekład to przyciężki, bez polotu, ale filologicznie wierny, a przytem ścisły i konsekwentny w budowie heksametrów. Powiedzieć tego nie można o „Próbach wierszów miarowych" biskupa Ludwika Łętowskiego (1866), gdzie znajduje się i tłumaczenie początku „Eneidy". Natomiast próbą udatną, a miejscami bardzo piękną, jest przekład znacznego fragmentu II księgi „Eneidy" heksametrem rymowym, dokonany przez Kazimierza Ehrenberga („Ateneum" 1888).

W tymże czasie pojawiły się i przekłady, trzymające się tradycyjnych form wiersza polskiego, głównie aleksandrynów oraz jedenastozgłoskowca. Niektóre z tych przekładów należą do arcydzieł literatury polskiej; mam na myśli szczególnie przekłady, niestety fragmentaryczne, „Georgik" i „Bukolik" (wśród nich świetnie oddana IV ekloga), które wyszły z pod pióra najwybitniejszego polskiego parnasisty i jednego z największych artystów poezji polskiej Felicjana Faleńskiego („Przekłady poetów obcych" T. I. 1878), następnie urywek I ks. „Georgik", swobodnie ale przepięknie przetłumaczonych przez młodszego parnasistę K. M. Górskiego (wydane w zbiorku „Wiersze" dopiero w 1904 r.). Wielką wartość artystyczną ma pełen jędrnej siły przekład epizodu o Nizusie i Euryalu z IX księgi „Eneidy", dokonany w młodych latach („Przegląd Akademicki", 1881), przez Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

Drobne urywki dzieł Wergiljusza dla aktualnych celów podręcznikowych nieraz tłumaczyli uczeni i pedagogowie, np. Ignacy Stein dostarczył fragmentu księgi II-giej „Georgików" do „antologji rzymskiej", wydanej w r. 1897. Zwyczaj ten później przyjęli dwaj wybitni znawcy i badacze literatur klasycznych: Kazimierz Morawski i Tadeusz Sinko. Pierwszy z nich, obdarzony talentem poetyckim, wplótł w swe znakomite dzieło „Vergilius i Horatius" (1916) pięknie przez siebie tłumaczone drobne urywki „Bukolik" i „Georgik" tudzież przekład wierszyka „*Ite hinc inanes*" i *epitaphium* „*Mantua me genuit*".

Są to jednak drobiazgi. *Paulo maiora canamus!* Wspomniani uczeni nietylko tłumaczyli okruchy dzieł Wergiljusza, ale co ważniejsza, zaszczepiając kult poety w duszach swych uczniów, wychowali mu nowe pokolenie tłumaczy. W latach tuż przed wojną światową i bezpośrednio po niej pojawia się — znów mniejwięcej po upływie lat trzydziestu — nowa fala przekładów Wergiljusza.

W gronie poetów, skupionych koło miesięcznika „*Museion*", powstała myśl o dokonaniu nowego przekładu „Eneidy" w nowej formie, mianowicie w stancach, do czego niewątpliwie dał podnietę przykład Fryderyka Schillera. Myśl tę wcielił w życie zdolny poeta L. H. Morstin, przełożywszy pięknie księgę II-gą; na spełnienie reszty zadania nie pozwoliła mu wojna. Po wojnie znalazł się we Włoszech. Owocem zaś tego pobytu, zwłaszcza w miejscowościach, związanych z osobą i twórczością Wergilego, jest książka „W kraju Latynów" (1925), gdzie autor zamieścił we własnym przekładzie sporo wyjątków z „Georgików" i „Bukolik" (IV-a ekloga). Przekłady te są swobodne, miejscami nieco zbyt rozlewne, ale celują artyzmem wysłowienia i melodyjnością formy wierszowej.

Przekład pierwszej księgi „Eneidy" dedykował Since jego uczeń, Jan Nepomucen Miller. Przekład ten, wydany w zbiorku pod znamiennym tytułem „*Lacrimae rerum*" (1921), za formę wierszową ma heksametr, z pewną jednakże inowacją, polegającą na dopuszczaniu tu i owdzie zgłoski luźnej, nieakcentowanej (coś w rodzaju przedtaktu) przed pierwszą stopą, co ze względu na warunki akcentowania w języku polskim było niekiedy wprost konieczne.

Do tradycyjnego, rymowanego aleksandrynu powrócił ostatni tłumacz „Eneidy" ks. Tadeusz Karyłowski T. J. Jego przekład (1924) jest w swoim rodzaju wirtuozerją, gdyż niedość, że zgadza się z oryginałem co do ilości wierszy, uwzględniając i wszystkie wiersze niepewne, ale ponadto przedstawia popis śmiałych i niezwykłych rymów, pozatem zaś, co rzadko daje się osiągnąć, tłumacz umiał połączyć wierność przekładu z wytwornością i dobitnością, często z pięknością stylu; w niektórych tylko miejscach rażą zwroty i słowa nieco sztucznie naciągane do rymu. W każdym razie jest to najlepszy z całkowitych polskich przekładów „Eneidy". Całkowitego przekładu innych dzieł Wergiljusza, któryby stał na tym poziomie, literatura polska nie posiada.

Obejmując rzutem oka owe kilkaset lat, w ciągu których jawiły się w Polsce przekłady Wergiljusza, zauważymy, że nie wszystkie stulecia i nie wszystkie pokolenia odznaczały się w rzeczonej dziedzinie wybitną lub jednolitą intensywnością. Bywały fale przypływu i odpływu. Żywa jednak działalność przekładowa, gdy chodzi o Wergiljusza, miała w Polsce miejsce czterokrotnie: 1) w dobie wybujałego humanizmu, przed jego zapadnięciem w barok t. j. na przełomie wieku XVI i XVII-go, 2) w dobie schyłkowego klasycyzmu t. j. w pierwszej ćwiartce wieku XIX-go, 3) w krótkotrwałej i przejściowej dobie parnasistycznej (mniej więcej 1860 do 1890-go), 4) w latach okalających wojnę światową. Tę perjodyczność oczywiście przedewszystkiem przypisać należy naturalnym wahaniom upodobań kolejno po sobie następujących pokoleń— sprawiającym, że w XVII wieku i przez połowę XVIII-go wieku kult klasyków rzymskich okresu złotego kapitulował wobec europejskiego baroku i wobec kultu Lukana i Seneki, tak jak w drugiej ćwierci XIX-go wieku kapitulował wobec romantyzmu, a na przełomie XIX-go i XX-go wieku wobec modernizmu i neo-romantyzmu. Drugim powodem jest to, że wspomiane cztery okresy były jednocześnie okresami najwspanialszych rozkwitów filologji klasycznej w Polsce, przynoszących oprócz dzieł naukowych także falę przekładów. Trzeci powód sięga głębiej: oto „przyjaciel Maro" i jego dzieła (zwłaszcza ekloga IV-a i „Eneida") były Polakom lekturą krzepiącą w ciężkich chwilach przełomowych, takich jak rozbiór Polski (1795), upadek powstania styczniowego (1864) i wojna światowa.

JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

W teatrze i na scenie życia. — Głupstwo teatr, ale co z państwem? — Rozmowa p. Daszyńskiego z p. Świtalskim.—Ucieszne widowisko, ale i tragiczne. — Czwarty akt się kończy, czy starczy zabawy na akt piąty? — Szkoła żydowska w teatrze i na arenie politycznej. — Polska chce mieć własny teatr i chce wiedzieć, co to jest kasiarz.

NA premjerze p. Brunona Winawera („Zły szeląg") w Teatrze Narodowym przypomniałem sobie, jaką wrzawę podniosła prasa lewicowa i żydowska w swoim czasie, gdy po odbudowaniu tego teatru postanowiono mu dać nazwę Narodowego. Było to po świeżych uchwałach masonerji, żeby nie dopuścić za żadną cenę, aby ucierało się przeświadczenie, że Polska jest państwem narodowem. Przymiotnik „narodowy" był ścigany i od tego czasu istotnie zginął ze słownika dziennikarskiego. Umówiono się, że Polska jest tylko „państwem", literatura jest uniwersalna, teatr może być conajwyżej „Polski", a miejski musi się nazywać „Rozmaitości", jak za czasów rosyjskich, zaś dekoracje, żeby nie było barwy swojskiej, będą według Schillera czy Szyllera (trójkąty i kuby), dyrektorem zaś musi być koniecznie mason. Skończyło się tedy na p. Śliwińskim po uporczywej walce. Dzienniki żydowskie — pamiętam — motywowały wprost, nie krępowane opinją Polaków:

— Jaki naród? Różne są w Polsce narody!

Świetnie zapowiadającą się scenę stołeczną, która miała być ogniskiem polskiej twórczości dramatycznej i sztuki aktorskiej, w wymarzonych warunkach odrodzenia Polski, w sto lat po zwycięskich borykaniach Bogusławskiego, — Rada m. Warszawy pozwoliła sobie z ręki wyrwać i — zmarnować.

Panowie radni miejscy mogą na to odpowiedzieć:

— Co wy nam o teatrze prawicie! Myśmy dali sobie całe Państwo wyrwać z ręki: jakże teatr miał ocaleć?

Istotnie odpowiedź nie pozbawiona akcentu wysoce dramatycznego, a takie, niestety, rozmowy rodaków rozlegają się na scenie naszego życia.

*

Tragikomedja! Jakiż talent dramatopisarski mógłby wymyśleć taką hecę na scenie, któżby ujął w scenarjusz rozmowy mężów stanu, prowadzone teraz w prasie, połączył je z żywemi obrazami w ognich bengalskich, gdzie figury nic nie mówią, bo nie mają nic do powiedzenia, i zabarwił całość komizmem, rozweselającym widzów do łez?... Przesuwałyby się przed oczyma hieratyczne postacie Daszyńskiego, Struga, Czechowicza, zgorszonych łobuzerką sanatorów i wykładających im, że nie tak należało do Polski się zabierać, że zepsuli systematyczną robotę lewicy. A z drugiej strony szarpią się filuty z legendy: *beati possidentes,* utrzymujące, że nikomu kontrolować się nie dadzą, bo Polska jest ich zdobycznym łupem i co zechcą, to z nią zrobią.

Wychodzą na scenę komiczne typy Zołzikiewiczów, rozhulanych suplentów gimnazjalnych z Galicji, agentów z drugiego oddziału i śpiewają kuplety o łamaniu kości i konstytucji. Marszałek Sejmu Daszyński powiada do nich:

— Co wyście narobili! Dzięki Wam obóz narodowy wzrósł w siłę. Straciliśmy całą młodzież.

A p. Świtalski, „ideolog" pułkowników odpowiada:

— Pan mi wypomina wakacje w Biarritz, a pan sam jeździł do Monte Carlo. Mam świadków, żem co do grosza zwrócił skarbowi koszta swej wycieczki.

I tak już czwarty rok bawimy się w państwo niepodległe w towarzystwie bardzo przypadkowem, które się dziwi, że troską ich polityki ma być dobro Polski, nie czyje inne. Pokazuje się, że wesołe chłopczyki robią przez pomyłkę uboczną politykę Ukrainy i Niemiec. Przez roztargnienie... Ale tyle mają przytomności, żeby się do tego nie przyznać. Bardzo nawet lubią, kiedy im albo komuś kości trzeszczą, bo to odwraca uwagę od „roboty" właściwej.

Cóż to za przepiękny typ w krotochwili taki np. generał Górecki, udający finansistę i rozdający pieniądze miljonami przyjaciołom. Albo taki p. Car, robiący jurysprudencję i wraz z p. Prystorem chowający się za autorytety, które ich rozgrzeszają z odpowiedzialności przed Sejmem:

— A kuku, a my tu!

Zabawa właściwie się urywa, bo już dalej nie można. Dotąd był jeszcze jakiś luz, póki społeczeństwo niebardzo się polityką interesowało, zdając się dobrodusznie na sterników:

— Jacy są, to są, ale przecież to ludzie, pewno nawet dobrej wiary i woli.

Ale teraz sprawa trudniejsza. Już ludzie na komendę rąk do góry nie podnoszą, dochodzą do władania rękami i zaciskają je. A jednocześnie grono arlekinów maleje, w powietrzu latają zrywane maski. Garstka figlarzy, zewsząd osaczona, chowa się za plecy nietykalności Prezydenta. Gdy p. Sławek o tej nietykalności wspomniał uczciwemu społeczeństwu, które cztery lata temu ze zgrozą patrzyło na złamanie tej zasady, wtedy stało się jasnem, że krotochwila ma się ku końcowi. Powszechny niesmak jest znamieniem obecnego kryzysu moralnego. Już nie śmiech, ale jak mówi b. minister Thugutt — „wewnętrzny lęk, że się tak strasznie marnuje Polskę"...

*

To, co się dzieje teraz w Polsce, jest komedją, jakby ją napisał jakiś Bruno Winawer. Próżno się to pokrywa formą literacką makabrycznego Shaw'a: treść jest myślana z żydowska. Bohater sztuki Winawera Artur Deszel jest wytwórcą kas ogniotrwałych. A jednak życie jego p. Winawer tak wyobraził, że niewiadomo, czy to jest fachowiec od robienia kas, czy też od ich rozpruwania. Leży to w naturze wzroku Winawera, że nie może widzieć czegoś bezwzględnie według treści, która zawsze ma jedno znaczenie. Nic to dla niego, że ma przed sobą „kasiarza", który robi kasy; wyobraźnia mu się rozdwaja i podąża za „kasiarzem", który kasy rozpruwa. Nie może nie nadać bohaterowi charakteru dwuznacznego.

Umysł autora, opętany od dwuznacznej względności wszystkiego, widzi żywot ludzki jako eksploatację okoliczności; stara się przekonać społeczeństwo cywilizowane, że bohater niczby nie stracił na szacunku ludzkim, gdyby sobie pomagał w zarobkowaniu rozbijaniem kas. Idea artystyczna ukazania człowieka o dwu obliczach, jednako z każdej

strony sympatycznego, szalenie autora bawi. I to wytwarza na sali atmosferę głębokiego nieporozumienia; publiczności bowiem polskiej to zupełnie nie bawi, nie rozumie nawet, o co autorowi chodzi, raczej zaczyna rozumieć, że znajduje się na wieczorze, poświęconym sztuce narodowej żydowskiej, że p. p. Śliwiński i Zawistowski robią dziś teatr żydowski.

O cóż wspomniany wyżej spór się toczył? Czy o nazwę? Nie. Społeczeństwo polskie, szanujące swoją cywilizację, broni się, aby nie niszczono ducha polskiego i polskich instytucyj kiepską mieszanką kultur, wzajemnie się wyłączających. To, że pp. Śliwiński i Zawistowski dali się wykastrować z poczucia stylu narodowego w sztuce, to jest niedola ich pokoleń, które przebyły szkołę masońsko-socjalistyczną. Ale publiczność polska ma popędy twórcze i pragnie mieć teatr własny.

Dlaczegóż ja to piszę tutaj, nie w rubryce teatralnej? Bo ta sama sprawa kultury twórczej przeniosła się na widownię szerszą. Na scenie życia państwowego zgrywają się debiutanci ze szkoły masońsko-socjalistycznej, która jest w istocie szkołą żydowską. Każda z tych karykatur ludzkich, na które patrzymy, i cały sposób ich wzięcia się do rzeczy pospolitej — wszystko wygląda tak, jakby to żyd rysował i reżyserował.

Niczego według nich w świecie moralnym niema naprawdę — wszystko można rozumieć dwuznacznie. Tam kasiarz raz jest niby twórcą kasy, to znów włamywaczem. Prawo istnieje na to, aby go nie było, zasada na to, aby z niej kpić. Uprawiając międzynarodówkę, nie zawadzi wziąć na się emblematy narodowe.

Dlaczegóż młodzież dzisiejsza odsuwa się od socjalizmu? Bo ma dość widoku tego pokractwa duchowego. Zawsze wołaliśmy, patrząc się na wychowanie żydowskie w tym duchu, że jest to niebezpieczeństwo dla cywilizacyj historycznych, których podstawą jest dążenie do prawdy w moralności. Nie można bezkarnie wychowywać według zasady „cel uświęca środki", bo w końcu całkiem w głowie się pomiesza, co jest celem, co środkiem i żadnego programu dusza taka z siebie nie wydobędzie, któryby mógł służyć społeczeństwu. Jest to bowiem, gdy cele wietrzeją, szkoła środków, nie celów, szkoła ślepych narzędzi, szkoła bojówek, któremi posługiwać się zawsze będzie jakaś siła zewnętrzna ładnie ukryta, a wysuwająca na scenę fetysza *(deus ex machina)* który ma wyobrażać siłę kierowniczą.

Z placu ćwiczeń takich, jak był plac Grzybowski, gdzie żydzi kierowali ręką bojówek, uprzedziwszy przedtem policję, aby się bawić masakrą ludu, nie może wyjść na arenę życia działacz odpowiedzialny za swe czyny.

To też ma rację radny miejski, który — gdy mowa o teatrze Narodowym, odeprze: a Państwo? Polska musi przejść przez ten dopust Boży, bo dopóki człowiek nie zobaczy czegoś doprowadzonego do absurdu i nie zapłaci drogo za oglądanie tego absurdu, dopóty nie docenia nakazów zdrowego sensu.

I państwo musi być narodowe i teatr musi być narodowy; inaczej — stracimy oboje. Nie zbudujemy żadnego świata, jeśli operować będziemy dwuznacznikami; musimy wiedzieć jasno, z kim mamy do czynienia: z twórcą kas czy z kasiarzem-rozpruwaczem.

ZYGMUNT WASILEWSKI

ZJAZD IM. KOCHANOWSKIEGO

KTOKOLWIEK umie obserwować i ma zdolność wczucia się w ducha czasów, które nadchodzą, ten w wielkim Zjeździe krakowskim ku uczczeniu czterechsetlecia Jana Kochanowskiego uzna bezsprzecznie fakt w naszem życiu kulturalnem nietylko ważny, ale przedewszystkiem niezmiernie znamienny. Bez publicznych nawoływań do wzięcia udziału w tem święcie, bez pompatycznych odezw i zapowiedzi, zjazd organizowany przez instytucję tak odległą od ducha reklamy, jak Akademja Umiejętności, przerodził się w olbrzymią, imponującą manifestację świata naukowego i literackiego Polski współczesnej, zgromadził około tysiąca dwustu uczestników. W oczy rzucał się tłumny udział najmłodszego zaciągu badaczy naukowych i pisarzy. Widoczne było, że dla pokolenia obecnego Jan Kochanowski jest postacią bliską, zrozumiałą, o ileż bliższą dzisiaj duchowo i zrozumialszą od zastępów pisarzy z epok późniejszych!

W latach niewoli blask Wieku Złotego wydawał się czemś nierealnem, jak sen, tak niezmiernie odległy był od rzeczywistości i pozbawiony bezpośrednich z nią związków psychicznych. Dla generacji, żyjącej znów własnem życiem państwowem, zagadnienia dawnej Polski niepodległej na nowo stają się czemś rzeczywistem, bezpośredniem, gdy złym snem coraz bardziej wydawać się zaczynają rozpaczliwe szamotania się epoki porozbiorowej. Z jakiemż zrozumieniem wsłuchuje się wychowane już w państwie niepodległem pokolenie w pełne powagi i troski obywatelskiej, mądre przestrogi Antenora! Jakże obce są i niepojęte dla niego odruchy i podniecenia Kordjana!

To też w świetnym, szczytowy punkt Zjazdu stanowiącym odczycie, wygłoszonym na inauguracyjnem posiedzeniu przez prof. Ignacego Chrzanowskiego, znakomity uczony nie potrzebował „aktualizować" Kochanowskiego czy to przez zestawianie go z autorami doby dzisiejszej, czy przez powoływanie się na pokrewieństwa jego z dzisiejszemi poglądami i prądami. Dał poprostu wspaniały, głęboko przemyślany wizerunek duchowy pisarza, z jego tak rzadkiem w epoce dworskiej poezji humanizmu poczuciem godności osobistej i niezależności, z jego religijnością, umiłowaniem piękna, niezachwianym niczem patrjotyzmem, niezłomnem poszanowaniem prawa. Ukazał Kochanowskiego „na szczytach kultury staropolskiej", jako przedstawiciela jej wartości wieczystych, zawsze jednakowo obowiązujących, jako wzór zarazem i jako przestrogę.

Zjazd krakowski stał się hołdem, złożonym pamięci Kochanowskiego nietylko przez Polskę, ale i przez naukę zagraniczną. Ze wzruszeniem słuchało się głębokiego, świetną polszczyzną wygłoszonego referatu prof. uniwersytetu rzymskiego Giovanniego Mavera, jak również prof. uniwersytetu praskiego Horàka, który swój, także w języku polskim wypowiedziany wykład, przeplatał licznemi, długiemi cytatami z najrozmaitszych dzieł Kochanowskiego — z pamięci. Nie bez przyjemności słuchać też musiał Polak wywodów prof. uniwersytetu w Lille, Antoiue Martel'a o wielkim wpływie Kochanowskiego na rozwój poezji na Rusi, albo tezy prof. uniwersytetu bukaresztеńskiego, Piotra

Panaitescu, rozwiniętej i uzasadnionej w jego referacie, iż właśnie dopiero „pod wpływem humanizmu polskiego powstała w narodzie rumuńskim świadomość jego łacińskiego pochodzenia“.

Prasa codzienna zamieściła już szczegółowe opisy Zjazdu, „Myśl Narodowa“, ze swej strony poda w nabliższym zeszycie krótkie streszczenia i tezy niektórych przynajmniej z wygłoszonych na Zjeździe refaratów. Obecnie, pod pierwszem wrażeniem uroczystości krakowskich ograniczamy się jedynie do stwierdzenia, jak doniosłem i jak dalece znamiennem równocześnie był ten Zjazd w rozwoju naszego życia umysłowego zdarzeniem.

R.

WYCHOWANIE NARODOWE

UWAGI Z POWODU WYNIKU PROMOWANIA UCZNIÓW

(Dokończenie)

2. Szkolnictwo średnie.

Z ANALIZY wyników promowania w szkolnictwie średniem wyprowadzam wnioski również ujemne.

Okazuje się na podstawie tych wyników, że na stu uczniów pierwszej klasy kończy szkołę średnią w normalnym okresie 8-letnim zaledwie 18,7; jest to stan nieco lepszy (+ 2,6) od szkół powszechnych, ale wcale nieświetny. W szkołach państwowych cyfra ta spada na 15,6, a więc niżej, niż w szkołach powszechnych, zaś w szkołach średnich prywatnych podnosi się do 19,2.

Dla porównania podaję klasami w pierwszym wierszu procent niepromowanych, w drugim zaś liczbę uczniów, przechodzących normalnie z klasy do klasy, przyjmując jak poprzednio dla pierwszej klasy liczbę 100, osobno dla szkół całej Polski (państwowych i prywatnych razem) i osobno dla szkół państwowych i prywatnych.

a) Szkoły ogółem:

Klasy	I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	Ilość absolwentów
% niepromowanych	15,8	18,7	19,4	23,9	21,3	21,6	20,4	14,7	
Ilość uczniów przech. norm.	100	84,2	68,5	55,3	42,1	33,1	26	20,7	18,7

b) Szkoły państwowe:

Klasy	I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	Ilość absolwentów
% niepromowanych	16,9	20,5	21,4	26,9	23,9	23,9	21,0	10,8	
Ilość uczniów przech. norm.	100	83,1	66,1	52	38,1	29	22,1	17,5	15,6

c) Szkoły prywatne:

Klasy	I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	Ilość absolwentów
% niepromowanych	14,2	16,5	17	21	18,6	19,2	19,8	19,1	
Ilość uczniów przech. norm.	100	85,8	71,7	59,5	47	38,3	31	24,9	19,2

Z zestawień tych wynika, że ilość niepromowanych wzrasta gwałtownie w klasie drugiej, rośnie następnie w trzeciej i czwartej, utrzymuje się na nieco niższym poziomie ale wysokim w piątej i szóstej, a spada w klasach siódmej i ósmej.

W r. 1926/27 liczba uczniów we wszystkich szkołach średnich państwowych i prywatnych wynosiła 206.315, z tego niepromowanych było 40.939 czyli 19,7%. A zatem, co piąty uczeń nie przeszedł do wyższej klasy, czyli zmarnował rok życia.

Według zamknięć rachunków państwowych za rok 1926/7 kształcenie jednego ucznia w szkole średniej kosztowało rocznie 314 zł. (wydatek 33.103.875, uczniów było w szkołach państwowych 105.227), mnożąc tę cyfrę przez ilość niepromowanych, otrzymujemy 12.854.846 zł., a więc blisko 13 miljonów wydanych przez państwo nadarmo. Strata to ogromna, i ze stanowiska państwowego i społecznego nie powinna być tolerowana.

Należy się głęboko zastanowić nad przyczynami tego stanu rzeczy, zwłaszcza obecnie, gdy Ministerstwo Oświaty przygotowuje projekty reformy szkolnictwa i programów szkolnych.

3. Szkoły nauczycielskie.

W seminarjach nauczycielskich uczyło się w r. 1926/7 — 36.128 uczniów, z tego w państwowych zakładach 22.255, w prywatnych — 13.873. Procent niepromowanych wynosił dla wszystkich zakładów 13,8, dla zakładów państwowych — 16,5, dla prywatnych 9,5, czyli niepromowano razem 4.978, z tego w szkołach państwowych 3.663, w szkołach prywatnych 1.315 uczniów.

Wyniki promocyj w seminarjach są zatem korzystniejsze, niż w szkołach średnich i powszechnych. Kiedy bowiem w szkołach powszechnych niepromowani stanowią jedną czwartą część, w szkołach średnich jedną piątą, to w seminarjach jedną siódmą.

A teraz zestawmy poszczególne kursy seminarjalne.

a) Wszystkie szkoły w Polsce:

Kursy	I	II	III	IV	V	Ilość kończących normal.
% niepromowanych	15,5	14,5	14,4	14,7	6,2	
Ilość uczniów przech. normalnie	100	84,5	72,2	61,8	52,7	49,4

b) Seminarja państwowe:

Kursy	I	II	III	IV	V	Ilość kończących normal.
% niepromowanych	18,2	17,6	17,4	18,2	7,2	
Ilość uczniów przech. normalnie	100	81,8	67,4	55,7	45,6	42,4

c) Seminarja prywatne:

Kursy	I	II	III	IV	V	Ilość kończących normal-
% niepromowanych	11,5	10	9,6	9,4	4,7	
Ilość uczniów przech. normalnie	100	88,5	79,7	72	65,2	62

Wyniki promowania na t. zw. Państwowych Kursach Nauczycielskich są o wiele lepsze niż w seminarjach.

Uczyło się na tych kursach razem 496 uczniów, z tego promowanych było 478, niepromowanych 18 czyli 3,6 procent.

W seminarjach ochroniarskich uczyło się razem 603 uczenic, z tego w zakładach państwowych 359, w prywatnych 309. Promowano ogółem 507, w państwowych 309, w prywatnych 148. Procent niepromowanych we wszystkich szkołach wynosił 15,9, w państwowych 13,9, w prywatnych 18,9.

Jak widzimy, procent niepromowanych w seminarjach ochroniarskich prywatnych był wyższy, aniżeli w państwowych, podczas gdy w seminarjach nauczycielskich i szkołach średnich było przeciwnie.

4. Szkoły zawodowe.

W szkołach zawodowych uczyło się w roku 1927/28 — 44.277 uczniów, z tego w szkołach państwowych 17.511, w szkołach prywatnych 26.766

uczniów. Promowano ogółem 36.395, z tego w szkołach państwowych 14.377, w szkołach prywatnych 22.018. Niepromowano ogółem 7.882, z tego w szkołach państwowych 3.134, w szkołach prywatnych 4.748.

Procent niepromowanych wynosił dla wszystkich szkół, 17,8, dla szkół państwowych 17,9, dla szkół prywatnych 17,7, — jest on — jak widzimy — większy, niż w seminarjach nauczycielskich, natomiast mniejszy, niż w szkołach średnich ogólnie kształcących i w szkołach powszechnych.

Z uwagi na różne typy szkół zawodowych można zestawić wyniki promowania nie według klas, ale według poziomów nauki, zaliczając do I-szego poziomu te grupy, które stoją na poziomie siódmego oddziału, lub niższych oddziałów szkół powszechnych. Dalsze siedem poziomów stanowią klasy wyższe różnych typów szkół zawodowych z tem, że ostatni najwyższy wypada w 14-tym roku nauki, licząc od 1-go oddziału szkoły powszechnej.

Zestawienie analogiczne do powyższych (w seminarjach nauczycielskich, w szkołach średnich i powszechnych) przedstawia się następująco:

a) Wszystkie szkoły:

Poziom nauki	7	8	9	10	11	12	13	14	Ilość kończ. normalnie
% niepromowanych	19,4	17,8	18,5	14,3	14,7	13,4	7,7	10	
Ilość uczniów przech. norm.	100	80.6	66,3	54	44,3	37,8	32,8	33,3	27

b) Szkoły państwowe:

Poziom nauki	7	8	9	10	11	12	13	14	Ilość kończ. normalnie
% niepromowanych	17,3	19,2	20,8	14	16,1	12.9	6,5	10	
Ilość uczniów przech. norm.	100	82,7	66,8	52,9	45,5	38,2	33,3	31,6	28,4

c) Szkoły prywatne:

Poziom nauki	7	8	9	10	11	12	13	14	Ilość kończ. normalnie
% niepromowanych	20,2	17	16,7	14,8	11,8	14,2	14,3	—	
Ilość uczniów przech. norm.	100	79,8	66,2	55,1	47	41,6	34,6	29,7	—

W szkołach prywatnych nie podaje Urząd Statystyczny procentu promowanych w najwyższej klasie, jak wynika jednak z zestawienia dla wszystkich szkół, spada on poniżej 10, zaś ilość kończących normalnie szkołę jest niższą, niż 27 na 100 zapisanych do pierwszej klasy.

5. Uwagi końcowe.

Jak wynika z zestawień powyższych, największy procent niepromowanych mają szkoły powszechne (25,6%), na drugiem miejscu idą szkoły średnie ogólnie kształcące (19,7%), na trzeciem szkoły zawodowe (17,8%), na czwartem seminarja ochroniarskie (15,9%), na piątem seminarja nauczycielskie (13,8%), na ostatniem państwowe kursy nauczycielskie (2,6%). Najlepiej zatem przedstawiają się państwowe kursy nauczycielskie, które przyjmują młodzież po ukończeniu szkoły średniej; stąd wypływa wniosek, iż decyduje w tej sprawie przedewszystkiem selekcja uczniów przyjmowanych do szkoły, względnie na dany poziom nauki.

Pragnąc zmienić stan obecny, zwłaszcza w szkołach średnich, należy pomyśleć o udoskonaleniu form selekcyjnych, oraz podnieść wymagania przy przyjmowaniu do szkół. Ogromny procent niepromowanych w szkołach powszechnych dowodzi, iż szkoły te domagają się reformy tak pod względem organizacyjnym jak i programowym.

Pozostawienie stanu obecnego spowoduje dalsze ogromne szkody dla państwa i społeczeństwa — jako też dla młodzieży.

Byłbym szczęśliwy, gdyby artykuł niniejszy wywołał szerszą dyskusję sfer zainteresowanych, która powinnaby ustalić sposoby naprawy zła.

JAN KORNECKI

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Ku uczczeniu 400-ej rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego w związku z odbywającym się w Krakowie obchodem, czasopisma historyczno-literackie, redagowane przez prof. Br. Gubrynowicza, wystąpiły ze wspaniałemi zeszytami.

Mianowicie „Pamiętnik Literacki“ (Lwów) zeszyt 2 z rb. poświęcił całkowicie rozbiorom i przyczynkom z tego zakresu. Na czele studjum prof. W. Bruchnalskiego „Poetyka J. Kochanowskiego“. Potem rozprawy J. Skoczka, St. Łempickiego, M. Rybarskiego. Ośmiu autorów dało cenne przyczynki, tudzież pięć recenzyj.

„Ruch Literacki“ (Nr. 5) dał na wstępie Al. Brücknera bardzo ciekawą „Wiązkę Szczegółów“, a potem szereg głosów o Kochanowskim z zagranicy: Arnold, Baillou, Baldensperger, Czarnobajew, Damiani, Farinelli, Maver, Mazon, Rose, Vydra i w. in.

*

Nowy zeszyt „Ruchu Słowiańskiego“ za pierwszy kwartał b. r. w znacznej części poświęcony jest prezydentowi Republiki Czeskosłowackiej T. G. Masarykowi. O sędziwym jubilacie piszą redaktor *„Slovanského Prehledu“* Adolf Cerny, Wł. T. Wisłocki, konsul Dr. Jan Jirásek. Oprócz tego dwa wiersze: znanej poetki czeskiej Anny Jiráskovéj-Peskovej i Zdzisława Kunstmana. W części dalszej studjum H. Batowskiego „Vrchlicky a Mickiewicz“ i prof. Jerzego Horáka „Porównawcze studjum literatur słowiańskich“. Zeszyt zamyka dział recenzyj i obfita kronika.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W tłumaczeniu francuskiem ukazał się życiorys Cobbet'a, napisany przez P. K. Chestertona *(La vie de Williom Cobbet)*. Chesterton — jak zwykle — nie pisze systematycznej historji żywota swego bohatera, lecz zwraca uwagę na te cechy jego umysłu i działalności, które go szczególniej uderzają i które uważa za najważniejsze. Cobbett żył w drugiej połowie XVIII wieku, w epoce przełomu w wewnętrznem życiu Anglji. Walczył z temi przywarami industrjalizacji, które wówczas uchodziły za dowód „postępu“, a które były zaczątkiem — tak je sądzi Chesterton — tych wszystkich niedomagań, na które choruje Anglja dzisiejsza. „Wśród tego tańca nadziei humanitarnych — powiada Chesterton o Cobbecie — robił wrażenie przeżytku i relikwji z czasów zamierzchłych; tymczasem był on wówczas odosobniony w swym żywym związku z czasami, które miały nadejść“. Dlatego można mówić o odrodzeniu Cobbet'a, to znaczy o odrodzeniu rzeczy, które Cobbet chciał powołać na nowo do życia, a mianowicie — wolność, Anglję, rodzinę, godność drobnego rolnika itd. Pisząc o Cobbecie, wypowiada Chesterton swe najgłębsze poglądy na stan obecny Anglji i swe najistotniejsze marzenia — stąd płynie zainteresowanie, z jakiem czyta się ta książka. Porusza ona zagadnienia i nas blisko obchodzące.

*

P. Pierre Frondaie, autor *„l'Eau du Nil“* publikuje obecnie *„Béatrice devant le Désir“*. Jedna to jeszcze więcej historja patetyczna starczej miłości. Podeszły już wiekiem dr. Molleans jest opiekunem młodej i pięknej Béatrice. Została mu ona powierzona przez jej ojca, który zginął na wojnie. Béatrice będzie też wychowana przez dr. Molleansa, który dla swej pupilki zapała prawdziwą i tem dramatyczniejszą miłością, iż to właśnie starcza miłość. Co więcej: nie zwalcza on jej bynajmniej, ale oddaje się rozkosznym nadziejom. Tymczasem Béatrice kocha młodego Jacques Richelière, który wzajemnem odpłaca jej uczuciem. Molléans tymczasem, przerażony, iż mógłby przez to małżeństwo utracić Béatrice, zmyśla, że posiada ona poważną nerwową cho-

robę. Jacques usuwa się, a Béatrice rozpacza, nie wiedząc nawet zupełnie jaka jest przyczyna podobnego postępowania ze strony jej niedoszłego narzeczonego. Molleans wówczas wyznaje Béatrice swą miłość i oto młoda panna nie ośmiela się poniekąd odrzucić tej propozycji. W ostatniej jednak chwili, dr. Molleans opamiętuje się i wyznaje Béatrice swą winę, poczem i Jacques do niej powróci. Powieść psychologicznie subtelnie przeprowadzona odsłania czytelnikowi jeden więcej z tajników serca kobiecego.

SZTUKI PLASTYCZNE

OSOBLIWOŚCI WARSZAWY

TRZEBA mi naprzód usprawiedliwić się, dlaczego w dziale sztuk plastycznych omawiam sprawy grodownictwa. Co ma jedno z drugiem wspólnego? Co naprzykład, łączy sztuki plastyczne z właściwościami ulicznego ruchu kołowego i pieszego, oraz, w następstwie, z dokuczaniem biednej Radzie miejskiej i jej przybocznej Radzie artystycznej? Łączy je chyba tylko ta cecha najogólniejsza, że jedno i drugie ocenia się nadewszystko wzrokiem, a w mniejszej części słuchem i... węchem. To prawda. Ale właśnie współczynnik wzroku wystarczającą jest w danym wypadku furtką do działu sztuk plastycznych. Nie wchodzimy tu od frontu, ale i nie chyłkiem. Zresztą samo istnienie w grodownictwie obszernych zagadnień architektury i rzeźbiarstwa, oraz ogrodnictwa, które w t. zw. planistyce jest stosowaną sztuką plastyczną, uprawnia nas nawet do portalów licowych.

Sztuki plastyczne opierają się na wzroku. Żeby je oceniać, trzeba naprzód mieć oczy, następnie — patrzyć niemi, a wreszcie — umieć widzieć. Niestety, ogół ludzki posiada tylko pierwszy warunek — oczy. Ale patrzy niemi nie dalej, niż na trzy kroki przed sobą, a widzieć — nie umie. Do tak smutnego wniosku dochodzi się przy rozważaniu wyglądu Warszawy i jej mieszkańców. Skoro zatem nawołuję ludzi do patrzenia i widzenia własnego ich miasta, przysparzam sztukom plastycznym odbiorców, którzy będą się starali je widzieć, gdy na nie patrzą. Może to nie wielki zysk, lecz ze swej strony uważam to za dostatecznie wysokie myto za przejazd do włości plastyki na wozie najprostszych zadań grodowniczych. Pozatem, czy, naprzykład, ruch uliczny nie należy do estetyki miasta i czy na nią wpływu nie wywiera? A charakter tego ruchu w dużym stopniu zależy od właściwości jezdni i chodników, te zaś, z kolei, od Rady miasta. Tak czy owak, wszystkie drogi prowadzą do Ratusza.

Tam właśnie, pod zegarem wieżowym, na którym tylko przez dobrą lornetę odczytać można godzinę, Wysoka Rada omawia sprawy miasta — wielkie i małe. Do wielkich należą, między innemi, dzielnice i ulice „reprezentacyjne". Ciągle w prasie czytam to słowo tajemnicze i do dziś dnia nie mogę sobie zdać sprawy, co ono oznacza i poco istnieje. Trąci ono, mocno trąci zapaszkiem bliskiego Wschodu. Tam, w Rosji każdy gmach i dom posiada dwa wejścia: „paradnyj wchod" i „czornyj wchod". I w treści i w nazwie tych wchodów doskonale odzwierciadlają się niektóre cechy Rosjan. Nazewnątrz i od święta—parada, szyk, blask i pusty efekt, a odwewnątrz i na codzień — pełne treści niechlujstwo. Coś w tym rodzaju tkwi w pomyśle reprezentacyjności niektórych dzielnic, czy ulic w Warszawie. Co, kogo i komu one mają reprezentować? Naszą próżność cudzoziemcom. A „czornyj wchod" zostanie dla nas na codzień.

Co prawda, pewnego razu dałem się i ja sprowokować na reprezentację Warszawy. Spotkałem na ulicy znajomego cudzoziemca, który w rozmowie wyraził chęć zapoznania się z typem warszawian, co najlepiej w mnóstwie ludzkiem da się ocenić. Byliśmy na ulicy Królewskiej, więc wprowadziłem go do Ogrodu Saskiego. Wytworny park w samym środku stolicy, duma jej mieszkańców... Jakież miejsce może bardziej nadawać się na reprezentację? Obeszliśmy cały zatłoczony publicznością ogród. Przyśpieszałem kroku i starałem się jaknajprędzej stąd gościa naszego wyprowadzić. Ten zaś, już na ulicy zaczął mi patrzyć w oczy ze zdziwionem i niemem pytaniem. Zwiesiłem głowę. Niestety, nie spotkaliśmy wśród tego gwaru parkowego ani jednej twarzy polskiej, ba! — ani jednej aryjskiej. Ten ogród — to drugie Nalewki. Ażeby poprawić wrażenie powiozłem miłego Belga w Aleję Ujazdowską. Bogowie! Tu — trzecie Nalewki... Belg umie patrzyć i widzieć, lecz mimo to objaśniłem go napożegnaniu, że jest—to chwilowa... hm... osobliwość... sobotnia... hm... niedyspozycja polskiej stolicy. Odtąd już nie dam się namówić na żadne reprezentacje.

Teraz tylko sam oglądam osobliwości Warszawy. Oto, naprzykład, jak dziwnie ci warszawianie umieją łączyć zaświat ze światem. Spójrzmy na taki typowy obraz uliczny wzruszającej zgody kupieckiej. Trzy obok siebie wspaniałe sklepy z wielkiemi szybami o wystawach poglądowych. Z lewej strony — cukiernia z barwnemi tortami i ciastkami, z prawej — jatki z krwawemi udźcami wołów i wieprzów, ze świeżemi połciami mięsa i mnóstwem porąbanych i pokrajanych ciał zwierzęcych, a pośrodku — sklep z trumnami wieńcami pogrzebowemi, krepami welonów i ogłoszeniami o śmierci. Jakież to zestawienie pouczające, apetyczne i... reprezentacyjne! Ale bez względu na zestawienia, czy nie mogłaby Rada miasta zakazać jatkom urządzania w szybach takich pokazów prosekcyjnych i anatomicznych? Czy nie warto przynajmniej z ulic i dla oka usunąć tych krwawych orgij ludzkiego bydlęcia mięsożernego?

Co do magazynów z trumnami, to jest-to również reprezentacyjna osobliwość naszego barbarzyństwa. Tak zwane „zakłady pogrzebowe" należy rozmieścić w odpowiednich stolarniach przy cmentarzach, bez wystaw i pokazów, bo i bez tego każdy do nich trafi... Adresy, cenniki i reklamy tych „kupców" mogą przebywać w kancelarjach wszystkich świątyń, a dla „bezwyznaniowych" — w kancelarji rzeźni centralnej, albo w zarządzie kanalizacji. Rozrzucenie po całem mieście „magazynów pogrzebowych". kupczenie tragedją ludzką, wystawianie jej na pokaz — wszystko to jest głupią profanacją spraw aż nadto smutnych i poważnych. Hołota ludzka spoufaliła się z tem, lecz na to chyba są różne Rady, żeby hołotę cywilizować. Tymczasem, że to wiosna, odejdźmy od tych kirów i dla zatarcia złego nastroju rzućmy się w barwną, pachnącą orgję kwiatów, w objęcia... kwiaciarki. O Boże! Kwiaciarka warszawska... Osoba, w której objęciach wygodnie pomieścić się może cały gabinet ministrów! To także jedna z osobliwości Warszawy. Nie tak w młodzieńczej wyobraźni rysuje się postać kwiaciarki, na wzór powiedzmy, paryskiej czy florenckiej. Warszawa i na tym... punkcie jest osobliwa. Idźmy i stąd. Tu zanadto obszernie.

Jesteśmy właśnie na rogu dwóch ulic. Ah! Te rogi warszawskie! Za te rogi oby wszystkim mężom Rady miejskiej rogi poprzyprawiano! Pisałem już o tych rogach nieszczęsnych. Czy jestem pedantem? Jeżeli tak kto myśli, to proszę, niech szybko skręci z Nowego Światu na którykolwiek róg ulicy Foksal. Są to ruchliwe, choć bardzo nie obszerne punkty narożne miasta, a na każdym z nich stoją naprzeciw siebie: donica z patykiem na drzewo i buda z papierosami z jednej strony wązkiego chodnika, oraz obszerna buda gazetowa z drugiej strony chodnika. To na rogu południowym. Zaś na północnym analogicznie: donica z patykiem i buda z papierosami z jednej strony chodnika, oraz duży stragan z owocami z drugiej strony chodnika. Pośrodku obu par kramiarskich wązkie skrawki płyt chodnikowych dla licznych tu, w obie strony spieszących przechodniów. Czy w takich warunkach ruch uliczny może odznaczać się swobodą, lekkością i estetyką? A ktoby jeszcze myślał, że wyławiam wyjątki z warszawskiego abecadła grodowniczego, niech potrudzi się przejść stąd niedaleko na północny róg Nowego Światu i Alei Jeroboamskiej (pardon!... Jerozolimskiej), gdzie się rozsiadła kawiarnia Udziałowa.

Przystańmy tu i policzmy przedmioty na tym rogu zgromadzone, poczynając od Nowego Światu w głąb Alei

Jordańskiej (pardon!.. Jerozolimskiej) od wschodu na zachód: 1. Słup tramwajowy ze śmietnikiem koszowym i automatem czekoladowym (miłe sąsiedztwo!) 2. Kjosk reklamowy. 3. Drzewo w donicy. 4. Buda z papierosami. 5. Słup tramwajowy. 6. Drzewo w donicy. 7. Buda z wodą sodową. To wszystko, jedno tuż za drugiem na długości niespełna 15 metrów chodnika. A po drugiej stronie chodnika szeroka weranda kawiarni, na chodnik wysunięta, oraz stragan gazetowy. Pośrodku wązki kanał dla ruchu przechodniów. Zauważmy, że jest to najruchliwszy róg w stolicy. Czy można uczynić coś więcej dla zagwożdżenia ruchu ulicznego, dla jego zniekształcenia, skłębienia i... reprezentacyjnego spotwornienia? Chyba jeszcze pośrodku postawić stół z Radą miejską w komplecie, albo zamiast Rady — kwiaciarkę warszawską..

Należałoby, mówiąc bez żartów, raz nareszcie ustalić zasadę, że rogi ulic powinne być wolne od wszelkich zbędnych przedmiotów. Nawet drzewa z ich donicami trzeba stąd pousuwać, a zadrzewienie ulic zaczynać o jakie 15 — 20 metrów od rogu. Niech Rada miejska „wysadzi" zamiast drzew komisje do zbadania rogów ulicznych, obdarzone odpowiednim pełnomocnictwem i rozsądkiem, a przekona się, że niewielkim kosztem i w prędkim czasie można Warszawie nadać wygląd nie tak eurazyjski, choć jeszcze nie eleuzyjski. Wszak chodniki, drzewa, stragany, budy i t. d. podlegają bezpośrednio rozkazom Rady miejskiej. Niema więc przeszkód postronnych dla tej i owej reformy dobroczynnej, zwłaszcza, że nie chodzi tu narazie o estetyczne kształty i barwy różnych bud, które są brzydkie, lecz przedewszystkiem o ich logiczne na ulicach rozmieszczenie, żeby ruchu nie tamowały. Istnieją w stolicy mocarstwa polskiego dziesiątki osobliwości, do których nie tak łatwy ma dostęp rozkaz lub rada Rady miejskiej. Spójrzmy na zakończenie na jedną z takich prywatnych osobliwości Warszawy.

Przy ulicy Kopernika stoi gmach Centralnego Towarzystwa Rolniczego, instytucji bardzo poważnej, a na licu gmachu, nad głównem jego wejściem umieszczono rzeźbę kamienną, wielką postać siewcy na tle... jednego z szeregu okien pierwszego piętra. Gdyby to był dom prywatny, możnaby przypuścić, że należy do jakiego hm... hm... i minąć ze wzruszeniem ramion, a współczuciem dla pogwałconej zapewne woli architekta i rzeźbiarza. Ale gmach wielkiego towarzystwa rolników polskich! W stolicy państwa! I ta postać symboliczna nadnaturalnej wielkości na kratowanem tle szyb okiennych! To już pobija nawet rekord, ustanowiony przez warszawski pomnik Szopena!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZMARLI

Ś. P. MARCIN ERNST

ZMARŁ we Lwowie uczony wielkich zasług, najzacniejszy obywatel i kochany człowiek, profesor astronomji na uniwersytecie lwowskim dr. Marcin Ernst.

Przyjaciel jego od lat młodych Zdzisław Dębicki podaje następujące daty z jego życia:

„Ś. p. Marcin Ernst był warszawianinem. Tutaj urodził się w r. 1870, tu uczęszczał do 3-go gimnazjum, tu zdawał maturę w 4-em gimnazjum, tu wreszcie rozpoczął studja w roku 1890-ym na wydziale fizyczno-matematycznym. Po roku jednak przeniósł się do Berlina, gdzie oddał się wyłącznie studjom astronomicznym. Po otrzymaniu stopnia doktora filozofji objął asystenturę przy katedrze astronomji na politechnice we Lwowie. Po ustąpieniu prof. Laski, zajął jego miejsce jako profesor i kierownik tamtejszego, nad wyraz skromnego obserwatorjum astronomicznego. Z chwilą utworzenia katedry astronomji na uniwersytecie lwowskim powołany został na tę katedrę i zajmował ją do ostatka. Jego to w dużej mierze zasługą było powstanie we Lwowie „Instytutu astronomicznego", co przy braku na cele nauki ojczystej środków, przez długi czas napotykało na przeszkody nie do przezwyciężenia. Wiedeń odmawiał stale pieniędzy, a kraj nie miał ich w rozporządzeniu.

Wytrwałe zabiegi i kołatania prof. Ernsta odniosły wreszcie skutek pomyślny i Instytut powstał. Przyszła jednak wojna, która zatrzymała bieg prac rozpoczętych, a po wojnie. w Polsce niepodległej, zaczęła się znów walka o fundusze Pomimo to prof. Ernst potrafił uczynić z Instytutu ośrodek wiedzy, w którym pracował wraz z nielicznem gronem swoich uczniów, poświęcających się astronomji".

Marcin Ernst znany jest w literaturze naukowej z szeregu kapitalnych prac naukowych. Wymienić możemy: „O kometach i końcu świata" (1899), „O przyrodzie planet", „Astronomja gwiazd stałych", „Kosmografja". Wiemy, że przed śmiercią, wiedząc, że go czeka, śpieszył z ukończeniem nowej pracy naukowej. Pisywał wiele w dziennikach („Słowo Polskie"), usilnie dbając o popularyzację wiedzy astronomicznej wśród szerokich mas. Jego redakcji są działy astronomiczne w słynnych kalendarzach „Słowa Polskiego" (1902—1913).

W młodości, jak informuje Dębicki, Ernst wydał zbiorek poezyj, tłumaczył też Anakreonta. I nic w tem dziwnego. Był to umysł idealistyczny, dusza dobra i marzycielska. Gdy mówił o światach planetarnych, miał twarz zachwyconą, jak Kopernik na obrazie Matejki. Poetami byli obaj.

Kto poznał bliżej Ernsta, musiał go pokochać jako człowieka głębokich uczuć i wiernego przekonaniom. Ile miał czasu, oddawał go chętnie pracy kulturalnej. Poznałem go bliżej w zarządzie Tow. Wydawniczego, do którego należał od chwili założenia (od r. 1896) do końca (1914).

Należał też stale do zarządu Związku Naukowo-Literackiego. Obie te instytucje zakładał razem z Janem Popławskim, z którym żył w przyjaźni.

Te lata na przełomie dwu stuleci do wojny były najświetniejszym okresem w życiu umysłowem Lwowa. Myśl polityczna w ścisłem zespoleniu z ideą odrodzenia kultury polskiej łączyła najprzedniejsze umysły ze świata nauki, sztuki, literatury i publicystyki, właśnie koło Tow. Wydawniczego, Związku Naukowo-Literackiego i „Słowa Polskiego". Wszędzie był po środku jako siła umysłowa i moralna astronom Marcin Ernst, człowiek żywy, kochający ze wszystkich planet nadewszystko — ziemię, a na niej Polskę z jej światłem cywilizacyjnym.

Ożeniony z Heleną Siemiątkowską, stworzył dom, który był ośrodkiem życia towarzyskiego dla przyjaciół.

Zmarł przedwcześnie, a śmierć jego okrywa żałobą wszystkich, którzy mieli szczęście go znać i kochać.

Z. W.

Ś. P. JAN STAN. LEWIŃSKI

ZMARŁ nagle wskutek tragicznego wypadku profesor Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie na katedrze chemji śp. Jan Stanisław Lewiński.

Pierwsza jego praca zanotowana była w literaturze naukowej r. 1904: „O samorządzie miejskim w Londynie". Kształcił się potem zagranicą, poznał kilka języków i władając niemi biegle, ogłaszał prace za granicą w trzech językach. Przed wojną zajmował się wpływem zmian w gęstości zaludnienia na kształtowanie się stosunków ekonomicznych. W r. 1911 wydał po francusku książkę z tego stanowiska napisaną o przemyśle wielkim w Belgji w XVIII w. W r. 1913 uniwersytet londyński wydał kilka jego wykładów o powstawaniu własności.

Po wojnie śp. Lewiński objął katedrę w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie. Ogłosił krótki, wielce oryginalny podręcznik ekonomji oraz zarys historji doktryn, zatytułowany: „Twórcy ekonomji politycznej", który pojawił się w języku polskim, angielskim i japońskim. Ostatnią większą pracę poświęcił polemice z teorją ilościowią, która zrodziła się w Anglji. To też zwalczał ją w języku jej autorów („*Money, Credit and Prices*". London King 1929). Nietylko ściśle teoretyczne, ale także bardziej konkretne problemy monetarne nie były mu obce. W pismach codziennych bronił pożyczki stabilizacyjnej i planu stabilizacyjnego z r. 1927, ale krytykował zbyt wysoką zawartość monet srebrnych.

NOWE KSIĄŻKI

Goetel Ferdynand. Egipt. Wyd. II. Warszawa, 1930. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Kossowski Jerzy. Powrót. Nowele. Warszawa, 1930. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Bordeaux Henryk. Miłość ucieka. Przekład M. Domańskiej i Z. Skolimowskiej. Nakł. księgarni św. Wojciecha, Poznań.

Laurentin Maurycy. Miłość Poncjusza. Przekład Zofji Zakrzewskiej. Poznań Nakł. księgarni św. Wojciecha.

Szydelski ks. prof. dr. Idea odrodzenia w misterjach hellenistycznych, a u św. Pawła. Poznań. Nakł. księgarni św. Wojciecha.

Jeleński S. O siódmej godzinie. Opowieść ewangeliczna. Poznań. Nakł. księgarni św. Wojciecha.

OFENSYWA

BELFRY O NERONIE

TEN Kaden Bandurski, krakowski karjerowicz stuprocentowy, swego czasu miał jakiś odczyt czy wydał jakąś broszurkę, w której chcąc się znów przymilić i przypochlebić opinji publicznej, porównał Polaków z Rzymianami... „Polacy—to Rzymianie Wschodu". Na ten temat nablagował dwa kilo frazesów, truizmów i naciągań. *Bluff* Kadenowski się nie udał i opinja nad tem kadzidłem obrotnego wszędywkręta przeszła do porządku dziennego, wiedząc, że Sarmację z ery Sanacji raczejby można było porównać z Kartaginą...

Tymczasem w ostatnich czasach jednak znalazły się analogje, ale nie z Rzymem starodawnym, mocnym, zdrowym, ale z Rzymem z czasów Heliogabala i „Irydiona" względnie z Rzymem z czasów megalomana Nerona, zionącego nienawiścią do Rzymian.

W „Quo Vadis" tak ten Rzym sanacyjny opisał Henryk Sienkiewicz:

— „...A Rzym szalał po dawnemu, tak iż zdawało się, że to miasto, które podbiło świat, poczyna się wreszcie w braku przewodników rozdzierać samo w sobie.. Ludzie którzy budzili się zrana, zadawali sobie pytanie, czyja dziś kolej nadejdzie... Pison przypłacił głową spisek, a za nim poszli Seneka i Łukasz... i Subrjusz Flawus, niegdyś oddany całą duszą Neronowi, i Sulpicjusz Asser... Cezar przerażony samą liczbą spiskowych, okrył żołnierstwem mury i trzymał miasto jakby w oblężeniu... Pompejusz, Korneljusz, Marcialis, Flawjusz Nepos i Stacjusz Domicius zginęli oskarżeni o brak miłości dla Cezara... Nikt nie był pewny życia i mienia. Prawo przestało bronić. Zagasła godność ludzka i cnota... Świat wydawał się jedną orgją, krwawą i błazeńską, lecz zarazem wszczepiło się mniemanie, że nadszedł czas tańca, muzyki, rozpusty, krwi, i że odtąd tak płynąć już musi życie... Mury drżały od okrzyków: Witaj, Auguście, witaj, Herkulesie, witaj, boski, Jedyny, olimpijski, pityjski, nieśmiertelny"!...

Stwierdził także tę rzymskość naszej Sanacji mały sobie człeczyna „na dalekiej prowincji", dyrektor gimnazjalny w... Horodence, nazwiskiem Salmicki. Ten to jegomość na obchodzie Trzeciego Maja, palnął sobie oracyjkę, gdzie przeprowadzając analogję i apoteozę dzisiejszości polskiej tak między innemi nagaworzył:

— „Nero dobrze zrobił, niszcząc czynnik rzymski. Że przytem dostało się trochę i chrześcijanom, to trudno, ofiary być muszą. Nero dobrze zrobił, bo ukrócając czynnik społeczny na rzecz czynnika państwowego, uratował państwo rzymskie, które trwało jeszcze 500 lat"..

Pochwała Nerona *laus Neronis* w ustach dyrektora gimnazjum (w Horodence) jest motywem wskroś oryginalnym i rekordowym. W śmiałości tej koncepcji historjozoficznej pan Salnicki zbliżył się już do pedagogów bolszewickich z pierwszej fazy Sowietów, kiedy to apoteozowano Judasza, Dżingischana i t. p. Występ ten atoli chorego umysłowo pedagoga z Kołomyi wykazuje jasno, jak daleko rozlała się gangrena moralna za rządów tego pana Czerwińskiego w M. O. pod patronatem hr. Potockiego z Peczary Stańczykowskiej. O takich już zachorzałych umysłowo pedagogach gimnazjalnych raz po raz donoszą z Galicji. Czytują tylko „Kurjerka", kąpią się tylko raz do roku, nie wierzą w żadnego Boga, są „antropozofami" i wierzą tylko w J. P. Takim *sui generis* Salnickim jest na G. Śląsku inspektor szkolny o *nomen-omen* Warcholik (*sic*). Takim typowo krakowsko-zadżumionym Salnickim jest dr. (doktór galicyjski) Stefan Papée w Poznaniu. Ten znowu pedagog, o gigantycznych ambicjach literackich, apostoł Michalikowej rafinady *in partibus infidelium* w Wielkopolsce, spłodził świeżo okolicznościową broszurkę p.t. „Szkoła Kochanowskiemu". Doktór Krakauerski dostarcza szkołom „materjału" i porad na tegoroczne „obchody". Przy końcu wypocin bakalarskich radzi więc pan Papée, aby młodzież gimnazjalna grała „Odprawę Posłów Greckich", a potem żeby ten czy ów prymus deklamoweł wiersz Kochanowskiego „*Orpheus Sarmaticus*", napisany ku czci Stefana Batorego. Ale nie cały wiersz, doradza doktór Papée. Osiem zwrotek ostatnich doradza doktór skastrować. A na to miejsce w każdem gimnazjum niech ten czy ów dopisze zwrotkę, „nawołującą młodzież do skupienia się wokół wodza (*sic*) gotowego (*sic*) na wszelkie przygody" (*sic*).

Pan Papée choć *gente Cracoviensis* i do Michalika chadzał, ze stołów naszych ongiś sympozjonów spadłe odnalazł już tylko ostatnie okruchy. Pan Papée tanim kosztem grający w Poznaniu rolę Ateńczyka jest jednak... Persem tj. barbarzyńcą. Pan Papée powinien wiedzieć, że Kochanowskiego się ani nie „wyonaca" ani nie kastruje, ani nie aktualizuje, ani się zwrotek z „Wodzem gotowym na wszelkie przygody" nie dopisuje. Ot, też Salnicki *sui generis*.

Możeby doktór także wygłosił w Poznaniu taką *Laus Neronis?* pochwałę Nerona?

Oj szpital! już szpital, to Sanatorjum...

DO PRZEMYŚLENIA PRZEMYŚLANOM

JUŻ dwa lata temu czytaliśmy w pismach następujący telegram Agencji Wschodniej z Rzymu:

„Premjer Mussolini w rozesłanym przez siebie cyrkularzu zakazał nazywania swojem nazwiskiem placów, ulic, instytutów oraz związków".

Tymczasem u nas, jeszcze zeszłego roku, dnia 15 sierpnia w Przemyślu podczas święta rocznicy bitwy pod Warszawą, po Mszy świętej „poświęcono" ulicę Adama Mickiewicza, zmieniając jej nazwę „na ulicę marszałka Piłsudskiego".

Otóż zdaje się, że jest już pora, aby miasto Przemyśl, jednakże jeszcze przed nadchodzącym sierpniem, przywróciło z powrotem nazwę ulicy Adama Mickiewicza. Nie kładąc tamy kultowi, można tamtejszej Radzie Miejskiej zaproponować, aby inną ulicę nazwała sobie tak, jak jej się podoba. Ulica Mickiewicza atoli bezwzględnie do swej nazwy wrócić musi. Co do tego niema dwuch zdań. Przed sierpniem, więc lepiej teraz, odrazu. Inicjatywa działania w tym kierunku powinna wyjść od tamtejszej młodzieży narodowej. Na początku polubownie, łagodnie, zgodnie, perswazyjnie. Gdyby ten styl zawiódł, należałoby dopiero zastosować metody włoskie, które obecnie tu i owdzie zyskują prawa obywatelstwa i przyjmują się. Ulica Mickiewicza musi zostać ulicą Mickiewicza i basta. Im prędzej i im więcej pokojowymi zabiegami to się stanie, tem lepiej. Dopóki to się atoli nie stanie, gród Przemyski wyłączył się z miast cywilizowanych w Polsce. Zaparłszy się dla serwilizmu czci i szacunku dla wielkiego Wieszcza Narodu, tem samem pokrył się hańbą. Należy teraz do rzędu takich miast, których nazwiska są synonimem śmieszności, jak: Hotzen-Plotzen, Krahwinkel, Tarascon, Abdera, Pacanów gdzie kozy kują, Mościska, skąd są fujary i Babin, gdzie była Rzeczpospolita, niekiedy dziwnie dzisiejszą przypominająca.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Sanacja" wprowadziła do Polski faszyzm dwa razy ostrzejszy, niż włoski.

— Dlaczego ?

— Na widok Mussoliniego Włoch podnosi jedną rękę, a na widok sanatora Polak podnosi obie ręce.

*

Po przeczytaniu jednego z ostatnich fejletonów Boya-Żeleńskiego pewien krytyk rzekł:

— Wierzą w bociany „nieuświadomione" dziewczynki, a ja, właśnie dlatego że jestem uświadomiony, wiem, że Boya przyniósł na świat „Bocian".

*

Wraz ze zmianą na stanowisku ministra spraw wewnętrznych znowu staje się aktualną kwestja t. zw. „sławojek". Dzisiaj wszakże kwestja ta przedstawia się poważniej i jaśniej się tłumaczy. Są to właściwie spiżarki, a cała akcja ma doniosłość, jeśli nie wielkiego dzieła aprowizacji, to w każdym razie popularnego symbolu, który potężnie przyczynić się może do ugruntowania legendy i kultu upodobań bohaterskich. Pomnikami temi usiana Polska przechowa na wieki niezatartą pamięć sanacyjnych ideałów.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.